BIBLIOTEKA
WYŻSZEJ SZKOŁY EKONOMICZNEJ
W GDAŃSKU

Stron 8 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena 75 gr.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

T. ORLLEWICZ — W Korei — twój dom H. KIRCHNER — „Zeszyt znaleziony w Sunchongu"
B. LEWANDOWSKI — Mój ojciec był bezrobotnym I. SIKIRYCKI — Do gimnazjum
E. NIZIURSKI — Pierwowzór — korespondencja... H. ZAWORSKA — Książka J. Kuśmierka
A. SMUGA — Z pierwszych dni F. GRABOWSKI — Chłopi rzeszowscy
J. SKALSKI — O czujności CZ. PETELSKI — Narada filmowa
G. TIMOFIEJEW — O literaturze... W. ŚCIBOR — O pomocy sąsiedzkiej

Rok IX Warszawa, dn. 30 III. 1952 r. Nr 13 (347)

JAN ALEKSANDER KRÓL

Na przykład Dominikowski...

Nad listami spółdzielców

Powiat Pyrzyce leży w województwie szczecińskim. W powiecie tym wśród wielu innych rozwija się od dwóch lat spółdzielnia produkcyjna „Zgoda" w Bralęcinie.

Nigdy w niej nie byłem. Nie posiadam materiałów sprawozdawczych ani kontrolnych, nie czytałem żadnego reportażu o Bralęcinie a przecież widzę tę spółdzielnię jak na dłoni.

Dość było trzech listów. Pierwszy — z listopada 1950 r., drugi — ze stycznia 51 r. i trzeci — z maja 51 r. Pisał je ten sam chłop, członek kolektywu „Zgoda", Ignacy Dominikowski.

Nie wymieniłbym tych listów na teczkę sprawozdań, nie wymieniłbym na reportaże. Dlaczego? Dlatego, że w trzech listach mamy już szkic powieści. Mamy bohatera - spółdzielcę, którego postać żyje, przemienia się i rozwija.

Nie domyślajcie się talentu literackiego u Dominikowskiego, brak mu talentu: Nie jest pisarzem, ale jest spółdzielcą. A spółdzielca to taki człowiek, który całego siebie lepi po nowemu. Toteż kiedy spółdzielca napisze choćby **dwa, trzy listy** do redakcji zawsze w jego indywidualnym losie, w jego przekształcającej się świadomości i psychice odczytacie ruch historii tak nowy i tak dynamiczny, że w pisarstwie ludowym daje on początek **nowej tradycji.** U Dominikowskiego twórcze jest całe jego nowe życie. Twórczym jest cały nowy sposób pisania. Ten nowy sposób nie stanowi jego indywidualnej własności. Zdobywa go wraz z tysiącami innych spółdzielców, wraz z nowym życiem na wsi.

Foto CAF

✻

Pierwszy list Dominikowskiego nosi datę 13 listopada 1950 r. Napisany został w rok po powstaniu spółdzielni. Drugi w trzy miesiące później. O tym, o czym napisał w drugim liście, w styczniu 51 r., wiedział Dominikowski już w listopadzie 1950 r. Wiedział wówczas i o tym, o czym mówi dopiero w trzecim liście z 20 maja 51 r. Zadziwiający jest ten porządek listów, nie liczący się z biegiem faktów. Zadziwiający... u buchaltera. Bo Dominikowski jest buchalterem. Nie uczonym wprawdzie, nie starym wygą — z awansu, z krótkoterminowego przeszkolenia, buchalterem, który poci się jak mysz i kropi jeszcze rzepak przez ż, ale buchalterem zawziętym i przejętym.

Listy jednak pisał nie buchalter-sprawozdawca. Pisał je po prostu spółdzielca. I nie wolno nam ani na moment oderwać żadnej informacji od narratora. Te listy żyją życiem myśli i dziejów ich autora.

Pierwszy list, jak i następne, zawiera kilka wątków. Na plan główny wysuwa się wątek produkcyjny. Ale nie wszystkie jego ogniwa. Dominikowski ani słowem nie wspomniał o hodowli bydła i świń, o bazie paszowej. Pisze wyłącznie o zbożowych i okopowych Czy to przypadek? Nie. Tak się zaczyna szkic powieści o spółdzielcy, który dopiero staje się nim. Nasz autor i nasz bohater w listopadzie 1950 r. czuje dopiero gospodarkę roślinną, chociaż jako buchalter zapisuje rubryki w księgach hodowli, chociaż jako buchalter zapisuje ludziom dniówki obrachunkowe. Gdybyśmy wówczas zapytali buchaltera, sypnąłby liczbami jak z rogu obfitości. Ale kiedy sam napisał list dał świadectwo innej prawdzie — jaki stopień osiągnęła jego własna, subiektywna dojrzałość spółdzielcy.

Drugi wątek obejmuje sprawę pozycji i siły zespołu spółdzielczego. Dominikowski pisze tak, jakby odpowiadał wrogom spółdzielni, wszystkim powątpiewającym i nieprzekonanym. W takim starciu nie wystarczy własne przekonanie. Tu trzeba dowieść mocy spółdzielni. Dominikowski szuka argumentów. Ale... kiedy sięgniemy po drugi list, kiedy posłuchamy Dominikowskiego trzy miesiące później jasno okaże się, że w listopadzie 50 r. nasz buchalter był jeszcze słabo uzbrojony.

Co stanowi najmocniejszy jego argument? „Wiosną 1950 r. przystąpiliśmy do wspólnych siewów. Wrogowie i niedowiarki twierdzili, że nie damy rady obsiać i sprzątnąć naszej ziemi. Pomylili się w swych rachubach. Siewy wiosenne zostały przeprowadzone sprawnie i na czas. Sprzęt zbóż i okopowych również został w czasie wykonany".

I tu się Dominikowski zatrzymał. Siewy udane, żniwa udane i nowy, jesienny siew przeprowadzony w terminie (o czym już w liście nie ma mowy) — na cóż te zwycięstwa wskazują? Na ludzi. Wyrosły kadry, wyrośli przodownicy, okrzepł stary zespół, można było zorganizować brygady, bo „było nas na początku 15-tu... obecnie spółdzielnia liczy 38 członków". Ale dla Dominikowskiego w listopadzie 50 r. **ludzie to jeszcze nie argument.** Choć sam przecież stawia czoło ludziom: „wrogom i niedowiarkom". Czuje ich jakość i nie przeciwstawia jej nowej jakości ludzi spółdzielczego zespołu. Jeszcze nie rozumie tej siły, jeszcze jej nie docenia. Jeszcze wrażenie nacisku wroga jest silniejsze. Jeszcze nie wyzbył się postawy obrony. Odpędza zajadle ataki tam, gdzie je niedowiarki przypuszczają i gubi ze świadomości i argumentacji takie rezerwy, przy których w rzeczywistości spółdzielnia rozwijała już ofensywę. Ona nacierała na okolicę. Dominikowski połknął w jednym zdaniu 22-ch nowych członków i nie powiedział, że w gminie, która składa się z 9 gromad jesienią siedem było już uspołecznionych. Powiedział natomiast co innego:

„Mamy jeszcze trudności do przezwyciężenia, ale wiemy, że przy zrozumieniu i współpracy wszystkich członków oraz pomocy naszej Partii trudności te pokonamy, a tych wszystkich, którzy starają się nam przeszkodzić w pracy zdemaskujemy jako wrogów klasowych".

Argumentuje więc jesienią 50 r. tak: **obronimy się** — kiedy obiektywny stan rzeczy mówił: wygraliśmy, umacniamy zdobycze, idziemy naprzód, zdobędziemy i Was.

Trzeci wątek dotykał perspektyw. Łatwo domyślić się, że Dominikowskiemu perspektywy rysowały się jeszcze niejasno i ogólnikowo. Skoro dopiero dojrzał w produkcji zboże i okopowe, skoro w pracy i walce zespołu — obronę reduty — w perspektywach — „mamy przecież dobre warunki rozwoju, jak urodzajną ziemię, budynki gospodarcze do wszystkich celów itd..." Tyle. ✻

30 stycznia 51 r., na dziesięć dni przed Walnym Zebraniem, Dominikowski zasiada do drugiego listu. Na biurku leżą wykazy dniówek obrachunkowych, bilanse wydatków i dochodów spółdzielni, mnóstwo kartotek, w których zapisano ilość zbiorów globalnie i z hektara, słowem — okazja dla buchaltera, jaką przygotował gospodarczy rok. Nie trzeba łamać sobie głowy — wystarczy przepisać te wykazy, pozycje i statystyki. Ale Dominikowski zamyka księgi, zgarnia kartoteki i odsuwa to wszystko daleko poza krąg światła, jakie pada od lampy na jego list. Nie otrzymamy sprawozdania **buchaltera.**

Na dziesięć dni przed Walnym Zebraniem człowiekiem wszystkowiedzącym był niewątpliwie buchalter. W jego księgach nagromadził się materiał do rocznego sprawozdania. Dlaczego więc Dominikowski rezygnuje z okazji? I dlaczego rezygnując z wykazów buchaltera pisze list na kilka dni przed uroczystym Rocznym Zebraniem? Czymże miał być ten list? Przemówieniem członka zespołu, z jakim wystąpi na Zebraniu.

Na dziesięć dni przed Walnym Zgromadzeniem Dominikowski wiedział już, co chce powiedzieć. Wstanie buchalter, wszyscy będą oczekiwać cyfr i wyliczeń, a on — gdzie Rzym, gdzie Krym... Nie wytrzymał Dominikowski. Żył przecież tą samą gorączką, co inni. Od miesiąca dla nikogo nie było tajemnicą, że dniówka obrachunkowa wyniesie 20 zł. Ileż tej zimy przegadno pod wpływem radosnego podniecenia. Nie tylko dlatego, że po pierwszym roku taka dniówka w garści to duży zarobek, ale również dlatego, że taka dniówka to jak order po zwycięskiej bitwie. A po bitwie na biwakach rej wodzą wiarusy, wokół nich gromadzą się ci, co jeszcze prochu nie wąchali. Jesienią 50 r. do spółdzielni w Bralęcinie przystąpiło nowych 22 członków. Zaroiło się od nowych. W zimie przybyło jeszcze trzech. Starej gwardii — 15-tu, nowozaciężnych — 25-ciu, razem już — armia.

Oto, co pojął Dominikowski. Zobaczył wreszcie **ludzi,** poczuł w sobie ich siłę, bogactwo ich osiągnięć. Ten wątek wypełnia główny plan drugiego listu.

Dominikowski pisze w sposób, jaki przysługiwałby przewodniczącemu spółdzielni. Wygłasza bowiem pochwały, w których ludzie nie są mierzeni tylko ilością dniówek, rozmiarem pracy i procentami norm. On zabiera się do ocen sięgających jeszcze głębiej, aby wykryć tajemnicę rozwoju spółdzielni w rozwoju ludzi.

Ten list to wielka próba Dominikowskiego. Dlatego znajdujemy w nim bardziej udoskonalone metody analizy, takie, jakimi posługuje się przewodniczący spółdzielni albo sekretarz partii. Podrósł Dominikowski, podrósł.

Oto przykład jego analizy.

Jan Dawidowicz osiągnął najwięcej dniówek. Dominikowski stawia sobie pytanie: dlaczego? w jaki sposób? Jak dotąd prochu jeszcze nie wymyślił. Ale to dopiero początek. Dominikowski bowiem pytanie to wtopił w o wiele ważniejsze. Jeżeli tyle dniówek to — albo sama pracowitość albo ponadto — twórcza organizacja pracy.

I nasz buchalter, odłożywszy na bok wykazy i księgi, wędruje poprzez miniony rok za Dawidowiczem i jego robotą.

W wiosennej akcji przy siewach Dawidowicz ze swoją brygadą (St. Stołą i Ign. Kaczmarskim) zasiali trzema siewnikami w krótszym czasie większy areał ziemi, niż jesienią inna brygada, w skład której weszli nowozapisani członkowie. Dlaczego Dawidowicz ustąpił miejsca nowym? Dlaczego z nowych powołał jesienią siewną brygadę? Z dwóch powodów. Po 1) nowi członkowie powinni byli od razu otrzymać pracę i od razu **zorganizowaną.** Po 2) to, co wypraktykowały wiarusy, można już było przekazać nowozaciężnym, a wyrastały nowe sprawy. Dawidowicz ze swoją brygadą w tym samym czasie, spieszące się bardzo siał nawozy sztuczne na polach, które nie były wcześniej zasilone nawozami. Takim dobrodziejstwem inwentarza obdarzyła spółdzielnię część nowych członków. Dawidowicz nie przeoczył tego zagrożenia. Wcześniej już bowiem, podczas żniw, przy próbnych omłotach, doszedł do wniosku, że tam, gdzie po płodozmianie siano bez nawozów, plony okazały się mniejsze. Wyliczył więc, że nowa i niewprawiona jeszcze brygada nieporównanie mniej spowoduje strat, niż niezastosowanie nawozów. A to była nowa sprawa! Sprawa, którą trzeba było rozumieć i walczyć o jej zrealizowanie.

Co robił zimą brygadier Dawidowicz? Organizował i przeprowadzał omłoty. On umie spieszyć się. Uczył nowych, jak można i dlaczego należy przyspieszyć zakończenie omłotów. Bo czeka nas skup zboża, bo czeka nas wywózka obornika. Dawidowicz zapowiedział, że teraz, kiedy mamy więcej ludzi i nowe pola, muszą być rozwiezione wraz z obornikiem olbrzymie sterty słomy, jakie od dwóch lat stoją bezużytecznie „na marginesie naszej gospodarki". Na ogólnym zebraniu, poświęconym pracom wiosennym, uczestniczył powiatowy agronom. Ustalony został plan zasiewów ziarna i nawozów. Dawidowicz postawił wniosek, aby nabyć selekcyjne ziarno pszenicy, bo nasze niezbyt się udało i jest niejednolite. On też zobowiązał się dopilnować GS, aby w terminie dostarczył nawozów sztucznych. Cóż jeszcze o Dawidowiczu? Siewniki dawno już oddał do remontu SOM-owi. Ostatnio został powołany na trzeciego członka zarządu spółdzielni.

Oto jeden z członków. Dominikowski charakteryzuje ich kilku (kobiety, dziewczęta z ZMP, nawet starców) dowodząc, jak wyrośli ludzie w spółdzielni. Ale zostańmy przy Dawidowiczu, choć nasz buchalter znajduje się nie tylko pod urokiem tego brygadiera.

W spółdzielczym życiorysie Dawidowicza oczarowało Dominikowskiego to, co nazwalibyśmy działaniem talentu, mądrości i patriotyzmu. Patriotyzmu nie brakowało buchalterowi. Wszak w pierwszym liście szedł do boju z „wrogami i niedowiarkami". Ale teraz, kiedy rozbiera jak śrubki w zegarku wszystkie akcje Dawidowicza widać, dlaczego taką wagę przykłada do wyników tej analizy. Talentu i mądrości Dawidowicza można się nauczyć!

W każdej jego akcji odsłaniają się prawidłowości, związki i zależności, które można powtarzać przy podobnych okazjach, czyli, że można dźwignąć się wyżej w technice i organizacji pracy. Ale Dominikowski wyciąga jeszcze dalszy wniosek. Gdy przyjrzeć się ludziom, ich metodom, sposobom i podejściu do zadań, to widać jak cykl jednej akcji podsuwa im pomysły do nowej.

Akcje Dawidowicza zawsze stanowiły realizację wcześniejszego przemyślenia przyszłości, wcześniej zaplanowanego jutra, zawsze powoływała je jasno widziana perspektywa.

Dla Dominikowskiego jest to odkrycie, warte listu, warte wystąpienia na Walnym Zebraniu.

Kiedy Dominikowski rozgryzał życiorys brygadiera, doszedł w tym przedsięwzięciu aż do 30 stycznia 51 r. i przekroczył tę datę, bo przekroczył ją Dawidowicz. Tak to znalazł się nasz buchalter w obliczu **perspektyw.** I nareszcie zobaczył perspektywę w rozwoju, tak jak to umiał widzieć Dawidowicz.

Opisując brygadiera Dominikowski przedstawił ogólne zebranie, poświęcone planom siewnym. Nie zdając sobie sprawy młócił wrogów tą informacją lepiej, niż trzy miesiące wcześniej. Oto, kim jest zespół spółdzielczy. Jeszcze głęboka zima, a tu narada, plany i doradca — powiatowy agronom. Pisząc o Dawidowiczu, ruszył

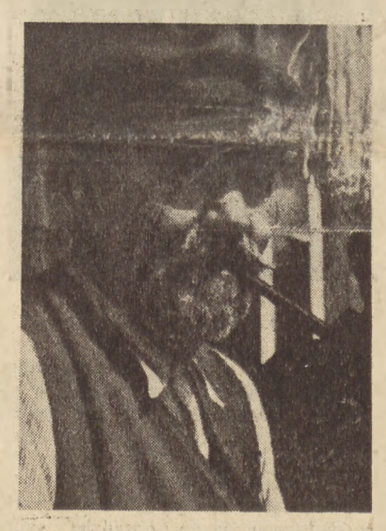

sprawę obornika, nawozów, siewników, ziarna selekcyjnego — słowem spraw, które podczas zimy, usypiającej chłopów na wsiach, tu gotowano czujnie, sprawdzano i puszczano w ruch. Dominikowski nabrał rozpędu i kiedy zakończył charakterystykę brygadiera — wali dalej w przyszłość. „Przed rozpoczęciem siewów w pierwszej kolejności zwieziemy nawozy sztuczne, wywieziemy obornik, sterty słomy oraz pomożemy w wywózce drzewa z lasów. Da nam to nie mały dochód, konie swoje odpracują, a nowi ludzie nie zgnuśnieją. Także aleje owocowych drzew (250) trzeba doprowadzić do dobrego stanu, aby hojnie nam obrodziły".

A trzy miesiące wcześniej? Już wtedy mógł chwalić Dawidowicza, Adachową, Słokę i starego Jankiego, który latem poremontował stodoły i obory. Już wtedy mógł opisać siew jesienny, organizowanie nowych członków i przedstawić plany na przyszłość. Mógł, ale jeszcze nie potrafił. Dopiero teraz uświadamia sobie, że „wszyscy członkowie partii z naszej gromady wstąpili do spółdzielni. Nasz partyjny aktyw podciąga członków do lepszej pracy. Spółdzielnia dała przez to przykład innym gromadom tak, że na dziewięć w naszej gminie — w ośmiu są już spółdzielnie produkcyjne".

✻

Co to znaczy, że w trzecim liście Dominikowskiego na plan główny znów wysuwa się wątek produkcyjny, a w nim po raz pierwszy pojawia się ogniwo hodowli? To ogniwo, które wprowadzał z końcem każdego miesiąca na karty ksiąg spółdzielczych, ale o którym w listach dotąd milczał.

Trzeba sobie uprzytomnić drogę, jaką przebywa chłop odkąd zapisał się do spółdzielni. Wniósł ziemię i konie. To było pierwsze i najłatwiejsze. Oddał połowę swej duszy, tę którą literatura opisywała najczęściej i najbardziej plastycznie. Chłop przy pługu, chłop w polu — ten chłop stał się spółdzielcą już pierwszego dnia. Ale drugą połową duszy pozostał jeszcze na działce przyzagrodowej. Tam zatrzymał krowy, świnie, barany i ptactwo. Ten dobytek reprodukuje i mnoży u siebie. Gospodarka zbożowa i okopowa jest już wspólna i „nasza" dla niego, gospodarka hodowlana jeszcze indywidualna i „jego"

Ten rozdział hamuje zorganizowanie socjalistycznej gospodarki, hamuje ukonstytuowanie się gromady w całkowicie nowy organizm gospodarczy, ogranicza możliwości produkcyjne zespołu, hamuje osiągnięcie pełnej świadomości kolektywnej i pełnego widzenia gospodarstwa spółdzielczego i gromady spółdzielczej, **jako całości.**

Wszak jak długa i szeroka tradycja piśmiennictwa chłopskiego cechą charakterystyczną korespondencji chłopa na swoim było to, że nigdy nie potrafił ująć **w całość gromady,** zawsze rozłatywała mu się na części, na ułamki aż póki w tym „worku kartofli" nie domacał się jednego kartofla: własnej gospodarki, własnej rodziny, własnego życia. Stąd brał początek i koniec wiedzy o swoim, cudzym i powszechnym.

Pierwsze listy Dominikowskiego obciąża ta tradycja. Kiedy pisał o gospodarce roślinnej, brakło mu jeszcze postawy ofensywnej, brakło perspektyw rozwojowych. Kiedy w drugim liście pisał z entuzjazmem o ludziach, jeszcze sięgał tylko do brygad polowych. Jeszcze nie miał pełnego widzenia gospodarstwa spółdzielczego i gromady spółdzielczej jako całości.

Ale już w drugim liście na przykładach pracy ludzi z brygad polowych chwyta dynamikę rozwoju spółdzielni i zaczyna pojmować organizację tego rozwoju. Po analizie pracy brygadiera Dawidowicza potrafi teraz w trzecim liście dokonać samodzielnie zwrotu w przeszłość — podsumować i ocenić i potrafi, otworzywszy perspektywę — planować.

Trzeci list pochodzi z 20 maja 1951 r. Jest już po siewach wiosennych, nadchodzą sianokosy.

„W Dolicach powstał POM. Przybyła wielka pomoc. POM wykonał nam orkę i kultywację. Siewy przeprowadziliśmy sami — na 166 hektarach. Nasze nowe brygady zdały egzamin. Ostatnio zakończyliśmy siewy roślin przemysłowych i oleistych oraz sadzenie kartofli — w dobrym terminie".

A teraz — przyszłość.

„Do sianokosów mamy dwie kosiarki i grabiarki. Sianokosy przeprowadzimy własnymi siłami.

Posiadamy 2 snopowiązałki, które sami remontujemy. W czasie żniw brygady polowe podzielimy na trzy grupy: jedna obkosi przejścia dla snopowiązałek, POM będzie kosił traktorami, druga (kobiety) będzie ustawiać stygi, a trzecia żąć zboże zleżałe i na małych kawałkach, gdzie traktory nie mogą rozwinąć biegu".

Widzicie jakiego to rozmachu nabrał Dominikowski. Wybiega naprzód, zuchwale operuje brygadami i grupami. A brygady i grupy to nie dawne 10 czy 20 rozsypujących się „kartofli", nie dawne „kupą" albo „ławą" ale organiczne części nowej, socjalistycznej gromady.

W tym rozmachu planowania Dominikowskiemu staje wreszcie przed oczami całość gospodarki. Okrywa to, czego dotąd wciąż nie chwytał, że nie można sukcesywnie brać kursu na rozwój spółdzielni, **jeżeli się nie zdecydowało utrwalić nowego ustroju rolnego.**

A bez hodowli nie jest jeszcze utrwalona gospodarka spółdzielcza i nie są jeszcze zapewnione pełne warunki dla jej rozwoju.

W trzecim liście Dominikowski oddaje już całą duszę spółdzielni — zaczyna bowiem wreszcie mówić o hodowli. I to jak!

„Mamy 35 sztuk bydła. Oborowy, tow. Bernatek wyhodował już 18 jałówek i cieląt. Możemy powiększyć hodowlę, bo posiadamy dostateczną ilość pastwisk, 20 ha. Nie zapomnieliśmy też rozszerzyć bazy paszowej — 5 ha koniczyny białej, 5 ha czerwonej i 10 ha mieszanki. To dobrze, ale źle jeszcze, że dotychczas nie posiadamy świń. Remontujemy chlewnię. Świnie zakupimy z zaliczek na kontraktację, trzeba się jednak pospieszyć, abyśmy na koniec roku obrachunkowego mieli już wykarmione bekony".

Nie jest to tylko rachunek sumienia zespołu, jest to przede wszystkim rachunek sumienia samego Dominikowskiego. Półtora roku dojrzewał Dominikowski do decyzji, utrwalenia spółdzielni, do zjednoczenia się z nią bez reszty, do świadomego kursu na pełny jej rozwój, do wyobrażenia sobie gospodarstwa spółdzielczego i gromady spółdzielczej jako nowej, **socjalistycznej całości.**

Jan Aleksander Król

WANDA GRODZIEŃSKA

PAWEŁ FINDER

W okrutnych mrokach okupacji
Wschodząca gwiazda Partii błyska.
Wspominam twarze i nazwiska
I jak na fali radiostacji
Z daleka ku nam głos przypływa.
Tak droga postać znów ożywa,
Nieutracona — bo wciąż bliska.

Był student z Bielska, który drogę
Niełatwą obrał. Już w młodości
Dwa cele znalazł — dwie miłości:
Partię i wiedzę. Im oddany
Jakież wspaniałe roił plany,
Że wszystko to, co sercu drogie,
Poświęci pracy dla ludzkości.

Na czele — Partia, a w Paryżu,
W laboratorium u Joliota
Ujrzał otwarte wiedzy wrota.
Lecz, gdy do celu się przybliżał,
Burżuazyjny ustrój Francji,
Łamiąc pozory tolerancji
W sieć paragrafów go omotał.

Myśl wolną potępiło prawo,
Więc „uciążliwy cudzoziemiec"
Musiał opuścić obcą ziemię.
Wrócił do Polski — przyszłą sławą
Wzgardziwszy — zadań swych
świadomy,
Ponad honory i dyplomy
Przejęty robotniczą sprawą.

Dla bojownika, co świat zmienia,
Jest w sanacyjnej Polski progach
Jedyne prawo — jedna droga:
Droga z więzienia do więzienia.

W aktach więziennych oczywista
Był Paweł Finder — „komunista",
Więc „wywrotowiec" bezwątpienia.

A przecież wbrew reżimu racjom
Świat zrozumienia mu użycza.
Joliot swe dziecko z dedykacją
z Paryża śle mu do Rawicza.
Jak protest wolnych wśród przemocy,
Jak promień światła pośród nocy —
Ta książka była demonstracją.

Gdy krwawy terror okupacji
Kraj cały w twarde ścisnął kleszcze,
Był Paweł sekretarzem Partii,
Partii, wytrwale w konspiracji
Walczącej z wrogiem. Wtedy jeszcze
Mocniej wróg zwierał pięść na gardle
Ludu, co bronił się zajadle.

Tak w walce, w trudzie dni za dniami
Płynęły niby wartka rzeka.
A sztorm ogromny szedł z daleka
I wroga raził piorunami.
Rozpraszał świt niewoli cienie
I szło ze Wschodu wyzwolenie,
Lecz Finder dni tych nie doczekał.

Dziś imię jego w nieśmiertelnych
Rzędzie zostało i trwa w czynie,
I Paweł Finder nie zaginie
W pamięci towarzyszy wiernych,
Jak gwiazda Partii — tak wysoka
Że blask jej w okupacji mrokach
Rozpalał świateł krąg niezmierny.

Wanda Grodzieńska

BOLESŁAW LEWANDOWSKI

MÓJ OJCIEC BYŁ BEZROBOTNYM

(Fragment pamiętnika)

MINĄŁ rok od ogłoszenia Konstytucji według której Prezydent miał być odpowiedzialny za swoje czyny „przed Bogiem i Historią".

Nadeszła jesień 1936 roku. Deszcze i słoty coraz bardziej dokuczały marnie przyodzianym ludziom, krzątającym się przy wykopkach na „bamberskich" polach i błądzącym od wsi do wsi bezrobotnym, za odrobiną pracy, za kromką chleba. Życie z dnia na dzień stawało się coraz cięższe i nędzniejsze. Z każdym świtem jesiennego poranka coraz wyraźniej zaglądało przez zamglone szyby do naszego mieszkania widmo głodu i zbliżającej się zimy. Coraz częściej zatrzymywał ojca na podwórku właściciel domu:

— Kiedy zapłacisz czynsz, he?... Na bruk wyrzucę... hołota...

— Wyrzuć, twoja wola — odpowiadał zwykle ojciec. Chodził codziennie do miasta, na folwarki i do bambrów — szukał pracy. Ale znaleźć pracę nie było łatwo. Wprawdzie od czasu do czasu przepracował tu i ówdzie jeden lub dwa dni u bambrów. Od jednego dostał czasem bochen zeschniętego chleba, inny dał złotówkę albo trochę ochłapów. Ale to nie była praca. To po prostu, jak matka mówiła: ostatnia deska ratunku. Matka, jak mogła też się starała. Prała bogaczom bieliznę, pracowała w polu przy wykopkach, lub ładowała na bamberskie wozy ubity nawóz z gnojowni. To wszystko starczyło jednak zaledwie na marne wyżywienie naszej 6-cioosobowej rodziny. Na nic więcej. Ojciec żył jeszcze jedną nadzieją. Kojarzyła się ona z wysmukłymi kominami mątewskiej cukrowni. Już wkrótce miała tam ruszyć kampania jesienna. Co dnia, gdy wieczorem wracał przygnębiony i smutny, wzdychał:

— Ach, gdyby tak szczęście dopisało... Cukrownia... Ale nie tylko ojciec żył tą nadzieją. Nie tylko. Słowo „cukrownia" była w tym czasie na ustach tysięcy innych bezrobotnych. Z tym słowem kładli się spać. Śniła się po nocach i spędzała sen z powiek. Na dwa tygodnie przed rozpoczęciem kampanii było już rojno i gwarno przed bramą mątewskiej cukrowni. Stanął przed tą bramą i ojciec. Wychodził z domu przed wschodem słońca, wracał późną nocą. Brał ze sobą kromkę suchego chleba aby nie paść z głodu. A gdy chleba brakowało, wsuwał do kieszeni kilka ugotowanych w łupinach ziemniaków. Minęły dni wyczekiwania w wieki przechodzące. Cukrownia ruszyła. Kilkadziesiąt wybrańców losu znalazło „szczęście": kilkutygodniową mozolną pracę bez wytchnienia. Ojciec z setkami innych bezrobotnych pozostał za bramą. Nadszedł najtragiczniejszy dzień w naszym życiu. O pięć złotych właściciel domu wytoczył proces i wyrzucono nas z mieszkania na bruk. Cóż było robić? Takie prawo. Postawił więc ojciec „dom" na ulicy. Szafy i deski z łóżek to były „ściany". Poprzecierane prześcieradła stały się „dachem". Dwa tygodnie sterczał nasz cały dobytek pod gołym niebem na ulicy. Niszczyło się wszystko to, co się jeszcze niszczyć mogło. Gdy zapadała noc wiatr igrał naszym „domem", niby zabawką pozostawioną na ulicy przez zapomnienie. Najmłodszy braciszek Edzio budził się nieraz i wołał piskliwym głosem: „Mamo, zimno... mamo, jeść"...

Minęły dwa tygodnie bezdomnego życia. Przenieśliśmy się z całym naszym dobytkiem za wieś na wzgórze, gdzie stał barak drewniany, specjalnie dla bezrobotnych sklecony. Jaki był, taki był, ale zawsze kawał dachu nad głową. Mieszkało już w tym baraku kilkanaście rodzin, które spotkał ten sam los. Wewnątrz baraków ścian nie było. Jednym słowem mieszkała tam jedna wielka rodzina. I dlatego może było nam raźniej i weselej niż kiedykolwiek dotychczas. Od rana do nocy snuły się po baraku przekleństwa i narzekania, ciągnęły się w nieskończoność opowiadania, wspomnienia i nieśmiałe układanie planów przyszłości.

Przed świętami Bożego Narodzenia zjawił się u nas wuj Leon. Przywiózł kawałek słoniny, trochę łakoci dla młodszego rodzeństwa i paczkę machorki dla ojca. Uciechy było wiele. Ale mnie od wszystkich wujowych darów bardziej spodobała się jego mowa. Każde słowo było takie mądre, zrozumiałe i pełne jakiejś troski.

*

Zimę 1937 roku spędziliśmy w drewnianych barakach dla bezrobotnych w Inowrocławiu.

Zgłosiłem się najpierw do kierownika szkoły, aby zapisał mnie do swej ewidencji. Kierownik popatrzył na mnie, uśmiechnął się jakoś ironicznie i spytał:

— Do której klasy chcesz iść?

— Do szóstej, proszę pana kierownika, tak jak w Szymborzu — odparłem cicho.

— A gdzie pracuje twój ojciec? — spytał znów kierownik spoglądając na moje podniszczone drewniaki i wytarte spodenki.

— Nigdzie, jest bezrobotnym — odpowiedziałem jeszcze ciszej.

— Dlaczego nigdzie nie pracuje? — Ale ja nic na to już nie odpowiedziałem.

Kiedy otwierałem drzwi zawołał:

— Poczekaj, nie widziałem twoich świadectw. Zawróciłem z powrotem i wyciągnąłem z kieszeni wszystkie świadectwa, począwszy od pierwszej klasy. Kierownik rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu i zaczął przeglądać wszystkie świadectwa po kolei. Gdy przejrzał już wszystkie świadectwa, powiedział:

— Trójek masz niemało. — Widać, że z nauką u ciebie nie bardzo.

Chciałem powiedzieć, że się uczę jak mogę, że trójki niesprawiedliwie otrzymałem, ale coś mnie tknęło: Bądź cicho, on i tak w to nie uwierzy, jesteś przecież biedusem z folwarku...

A ileż to sił, ile godzin poświęciłem na naukę. W pierwszej klasie szło mi nie najgorzej. Otrzymywałem same pochwały za pisanie, za rysunki i rachunki. Ale potem zaczęło się zmieniać. Początkowo nie dostrzegałem przyczyny moich niepowodzeń w szkole. Zły byłem sam na siebie.

Uczyłem się coraz więcej. Całe popołudniowe godziny spędzałem nad książkami i zeszytami. W szkole na lekcjach odpowiadałem prawie na wszystkie pytania, nie zostawałem za karę jak inni po lekcjach. I mimo wszystko świadectwa otrzymywałem godne pożałowania. Dziwne to było, prawda? Niestety jednak prawdziwe. Mijały lata. Dostrzegłem, że i w szkole są różnice, że nie wystarczy tylko dobrze uczyć się, aby otrzymać dobre świadectwa.

Na drugi dzień wybrałem się po raz pierwszy do inowrocławskiej szkoły im. Słaszyca. Nauczyciel, wychowawca szóstej klasy, zapisał mnie do swojego dziennika i kazał usiąść do oślej ławki, znajdującej się na samym przodzie przy stole katedralnym. Pierwszy dzień minął bez szczególnych wydarzeń. Raz tylko na lekcji rachunków zapytała mnie nauczycielka o jakieś rozwiązanie zadania. Odpowiedziałem trafnie. To podniosło mnie na duchu. Ale potem nadeszły gorsze dni. Na lekcji języka polskiego otrzymaliśmy zadanie napisania własnego życiorysu z uwzględnieniem najważniejszych wydarzeń w życiu rodziny. Napisałem więc ów życiorys szczerze i otwarcie. Jako najważniejsze wydarzenia w życiu podałem pobicie Staszaka przez dziedzica, wygnanie nas z folwarku i wyrzucenie z mieszkania na bruk. Gdy nauczyciel wziął potem mój zeszyt do kontroli zmarszczył brwi i zaczął po chwili czytać na głos. Oczy całej klasy zwrócone były na mnie. Czułem, że wszystka krew uderzyła mi do głowy. Zrobiłem się czerwony jak burak. Serce waliło w piersiach jak młot kowalski, kujący gorące żelazo. Uświadomiłem sobie nie w porę, że lepiej o takich rzeczach nie pisać. Ale było już późno. Gdy nauczyciel skończył czytanie zwrócił się do dzieci:

— Co wy na to, czy tak jest rzeczywiście w naszej Polsce?

Podniosło się kilka rąk do góry.

Pierwszy otrzymał prawo odpowiedzi Jerzy Waliszewski, jak się później dowiedziałem, syn „policmajstra" (komisarza policji).

— Ja, proszę pana nauczyciela, sądzę, że to wszystko nieprawda. Kto chce pracować, ten pracę zawsze znajdzie i nikt takiego człowieka nie bije ani nie wyrzuca z mieszkania. Lewandowski jest głupim dworusem, nie wie, co się dzieje...

— A ty, Halino, co sądzisz o wypracowaniu Lewandowskiego? — spytał z kolei nauczyciel Sawicką, córkę właściciela dużego sklepu.

— Ja też tak samo myślę jak Waliszewski — odpowiedziała. — Nasza ojczyzna jest bogata i nie dzieje się tak, jak ten dworus opisał...

— No, widzicie, dzieci — zabrał głos nauczyciel. — W jakim to świetle chciał Lewandowski malować życie w naszej wolnej Polsce.

— A do jakiej organizacji, do jakiego związku należy twój ojciec — spytał mnie niespodziewanie nauczyciel. Pytaniem tym mocno byłem zaskoczony. Odpowiedziałem tylko: — Do żadnej, jest bezrobotnym.

Po lekcji w zeszycie moim figurował podpis nauczyciela i: —3. Ale to nie było najgorsze. Gorzej było z wyzwiskami i pośmiewiskami, jakimi obrzucały mnie dzieci przy każdej okazji z Waliszewskim na czele. Biedus, nędzarz, dworus, oszczerca — pluto mi tymi słowami w oczy. Przestałem się uczyć, zacząłem opuszczać lekcje. To jeszcze bardziej pogorszyło sytuację. Jednego dnia nauczyciel złapał mnie za ucho i powiedział:

— Albo będziesz się uczył i chodził na lekcje, albo fora ze dwora. Wybrałem to drugie. Nie czułem się na siłach, by oprzeć się całemu ogromowi przeszkód. Przestałem uczęszczać do szkoły. Po tygodniu kierownik przysłał upomnienie, w którym było napisane, że jeżeli nie będę chodził do szkoły, rodzice będą płacić karę pieniężną. Matka trochę się zmartwiła tym. Ale gdy sąsiadka nasza powiedziała, że jej syn już pół roku nie uczęszcza na lekcje i kary nie płaci, matka przestała się martwić.

— Niech się dzieje wola boska — powiedziała. Biednemu zawsze wiatr w oczy wieje.

— To prawda — przytaknęła sąsiadka. — Niby piszą, że im się rozchodzi o to, by nasze dzieci się uczyły. Ale to tylko tak dla zamydlenia oczu. Myślą co innego: Czym głupszy biedak, tym lepszy z niego parobek.

Mądre były te słowa sąsiadki. Zawierały istotę rzeczywistości.

Wujek Leon też nieraz wspominał, że pasibrzuchom przede wszystkim o to idzie, aby ludzie biedni, jak najmniej byli oświeceni. Bo oświata i nauka — jak twierdził wuj Leon — jest najgorszym wrogiem jaśnie panów i możnowładców, jeżeli zdobywa umysły szarych ludzi.

*

W styczniu 1937 roku ojciec wyjechał do Smętowa. Otrzymał tam pracę przy kolei z poręki znajomego, któremu trzeba było potem wypłacić 50 złotych za wstawiennictwo. Praca nie była łatwa. Całymi dniami bez odpoczynku trzeba było ciężkim żelaznym stemplem ubijać kamienie na torze kolejowym. Wynagrodzenie było marne: niecałe 60 zł na miesiąc. Ale w porównaniu z tym wszystkim co przeżyliśmy, było to wielkim wydarzeniem życiowym w naszej rodzinie.

Po odjeździe ojca przez trzy miesiące mieszkaliśmy jeszcze w inowrocławskich barakach dla bezrobotnych. Ojciec będąc w Smętowie na własnej kuchni nie mógł nam wiele pieniędzy przesyłać. Ale zawsze parę złotych było. Starczało na chleb, sól i kawałek okrasy. Często nawet matka podawała kromkę chleba sąsiadom, którzy żyli w skrajnej nędzy. Ja te ostatnie miesiące pobytu w mieście spędzałem nad książką i na bezcelowym włóczeniu się po ulicach. Odwiedzałem od czasu do czasu wuja Leona i Władka. W tym czasie obaj wujkowie nie mieli pracy. Władek chodził na pośrednictwo pracy stemplować kartę bezrobotnego i pobierał od czasu do czasu głodowe zapomogi w postaci twardego razowego chleba i wojskowej kawy w kostkach. Leon na pośrednictwo pracy nie chodził. Jemu nie należała się zapomoga. Był na czarnej karcie jako „nie potrzebujący pomocy". Umieszczono go na owej karcie dlatego tylko, że był członkiem PPS i razem z dziesiątkami innych robotników nie godził się z władzami PPS, które zakazywały przeprowadzania strajków i głodowych pochodów bezrobotnych, dopominających się chleba i pracy. Był też zapisany na policyjnych kartach za udziały w demonstracjach, pochodach pierwszomajowych i nawet za to, że ciotka, żona Leona była córką członka KPP. Nie uległ jednak wujek Leon tym wszystkim trudnościom. Dalej stał na swoim. Czytał różne książki i jeździł po całej okolicy na rowerze, od wsi do wsi, tłumaczył ludziom różne rzeczy i pouczał, jak należy walczyć z krzywdą. Żona Leona aby żyć i dać żyć dwom córkom Wandzi i Zosi zmuszona była chodzić do prania do bogatych rodzin. Handlowała też drobiem na rynku. Towar, to znaczy kury, kaczki i jajka zakupował wujek Leon u bambrów w czasie swoich wyjazdów na wieś. Było to bardzo nieodpowiednie zajęcie — jak opowiadał wuj Leon. Ale cóż było robić. Zapomogi nie otrzymywał, a o pracy nie było mowy.

W połowie lutego wuj Leon i kilkudziesięciu innych robotników zostało aresztowanych. Gdy jego żona poszła do komisariatu, aby się coś nie coś dowiedzieć, odpowiedziano jej:

— Chciało mu się komunistów, niech teraz gnije... Ciotka nie rozpaczała. Miała jakiś twardy, kamienny charakter. Kiedy opowiadała o swoim pobycie na policji potrząsała tylko zaciśniętą pięścią.

Z nadejściem cieplejszych dni głodowe zapomogi dla bezrobotnych zostały wstrzymane. Przestali więc ludzie wyczekiwać na stemplówkę przed pośrednictwem pracy. Błądzili po ulicach, w dni targowe po rynku lub też, jak to niejedni mówili, szli „na zielone", wiejskimi drogami do bambrów i folwarków w poszukiwaniu pracy. Z nadejściem ciepła na ulicach i polnych drogach pojawiło się tego roku, prócz poszukujących pracy, bardzo dużo żebraków. Oznaczało to, że sytuacja jeszcze bardziej się pogorszyła. Długie godziny błądząc po ulicach rozmyślałem, jakby to walczyć i czy w ogóle ja biedus urodzony w czworakach potrafię w jakikolwiek sposób walczyć. Raz siadłszy na małej ławeczce niedaleko posągu Mickiewicza przypomniałem sobie historię z moim wypracowaniem szkolnym. Wtedy to doszedłem do takiego wniosku: w walce o sprawiedliwość ogromną rolę musi odgrywać słowo prawdy, jeżeli wówczas w

(Dokończenie na str. 7)

TADEUSZ GICGIER

PRACA

„Praca jest prawem, obowiązkiem i sprawą honoru każdego obywatela"
(Z projektu Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej)

Wyrośli z gorzkiej gleby lat,
które na czołach ryły bruzdy, —
pod niebem, które tylko grad
nam niosło — w hańby dniach i służby;

my, co za chleba lichy kęs
szliśmy z rodziną swą w niewolę,
by trudem rąk — i deszczem łez
użyźniać twardą, cudzą rolę;

my, których kopał lśniący but,
gdy przy maszynie wzrok ustawał —
w Ojczyźnie, którą rządzi lud,
wiemy, co to — honoru sprawa.

Z pracą się naszą splata pieśń
i razem życie przeistacza,
buduje domy, mosty, wsie — ,
i Polskę, która jest dziś — nasza.

IGOR SIKIRYCKI

DO GIMNAZJUM

(Fragment powieści)

Olej. Władysław Slewiński

ROZPOCZĘŁY się egzaminy. Już na wstępie stało się jasne, że sprawa nie będzie łatwa. Na sześćdziesiąt wolnych miejsc zgłosiło się 492 kandydatów.

Po długich lśniących korytarzach, wykładanych jasną posadzką, snuły się grupy chłopców w towarzystwie rodziców i korepetytorów. Panował gwar i podniecenie.

Wysoki zgarbiony student, schylając się nad swoim pupilem niskim gardłowym głosem rzucał ostatnie wskazówki: — Jeśli dadzą dowolny temat, pisz o Piłsudskim, albo o Koperniku... to co pisałeś ze mną...

Wsparta o parapet okna tęga pani w woalce co pewien czas uspakajała swego syna, ubranego w nowiutki mundurek: — Nie przejmuj się, Gacuś, nie zdasz to nie szkodzi. Będziesz się uczył w domu...

Obok kancelarii barczysty major z kolekcją odznaczeń, poklepywał po ramieniu łysego pana w okularach: Drogi panie, Leszek Malicki zda na pewno, kto tak strzela jak mój Leszek, musi zdać do gimnazjum...

W tej chwili otworzyły się drzwi kancelarii i stanął w nich wysoki szczupły mężczyzna. Przez korytarz przebiegł szmer. Z ust do ust potoczyło się szeptem słowo „dyrektor". Nawet major zwrócił uwagę na ciszę, która zawisła nad korytarzem, przerwał rozmowę z łysym panem i spojrzał w stronę kancelarii.

— A, witamy dyrektora. Jak zdróweczko?

Zbliżył się do wpół otwartych drzwi, potrząsnął dłonią szczupłego mężczyzny i poufale szepnął mu parę słów do ucha. Po chwili obaj weszli do kancelarii.

Z początku Jacek i Zenek trzymali się razem. Łatwo było odnaleźć się wzajemnie w podobnych podniszczonych ubrankach. Większość chłopców miała już na sobie nowe gimnazjalne mundurki.

Około dziesiątej podzielono wszystkich na alfabetyczne grupy i od tej pory przyjaciele stracili ze sobą kontakt na cały okres egzaminów. Piśmienny z polskiego poszedł im dość dobrze. Pełni nadzieli wrócili do domu.

Nazajutrz była matematyka i Jackowi nie powiodło się zupełnie. Zadanie było dość trudne. Jubiler kupił srebrny świecznik i z niewiadomych powodów, postanowił przetopić go na łyżki. Świecznik ważył tyle i tyle, a każda łyżka miała ważyć ileś razy mniej od świecznika. Trzeba było obliczyć ile łyżek otrzymał jubiler.

Jacek pocił się i gryzł koniec obsadki. W duchu przeklął już kilkakrotnie jubilera, który nie miał nic lepszego do roboty niż przetapianie świeczników, ale i to niewiele pomogło. Obok niego odzywały się co pewien czas przyczajone kroki tych, którzy skończyli zadanie. Zdobył się na świeży wysiłek. Jakoś poszło. Niestety, końcowy wynik nie budził wielkiego zaufania. Wypadło mu siedem i pół łyżki. Na sali zostało już tylko paru chłopców. Poddał się. Powstał i odniósł zadanie.

Rozmowa z Zenkiem dobiła go całkowicie.

— Powinno wypaść równo siedem łyżek. Skąd tyś wziął tę głupią połowę?... I w ogóle jak mogłeś coś takiego napisać?

— No, myślałem, że wyszło mu siedem dużych łyżek i jedna mała — bronił się niepewnie.

Po ukończeniu egzaminów ustnych dowiedział się od woźnego, że tylko 23 chłopców rozwiązało prawidłowo matematyczne zadanie i ponownie nabrał nadziei. Za tydzień ogłoszą ostateczne wyniki. Pozostaje tylko czekać.

Wieczorem na podwórko wpadł Karol.

— No i jak tam, panowie gimnazjaści? — zawołał z daleka i nie czekając na odpowiedź, wyjął z kieszeni małe zawiniątko. — Ja też nie próżnowałem... Skręciłem z końskiego włosia trzy pierwszorzędne wędki. Idziecie jutro na ryby?

— Dokąd, na Czerniejówkę czy na Bystrzycę?

— Na Bystrzycę. Co tam, na Czerniejówce płytko, ryba wypłoszona, po całych dniach koszami łapią. Pójdziemy pod Zęborzyce na pierwszy młyn.

— Daleko.

— E tam, przez Wrotków niecałe 5 kilometrów.

— A skąd wędziska?

— Wytniemy nad rzeką.

Nazajutrz rano spotkali się przed domem Karola. Kontury pustych ulic zacierała wilgotna mgła.

Minęli szary, pulsujący życiem masyw elewatora i opłotkami wiejskich zagród zbliżyli się ku rzece. Gdzieś w głębi wioski słabo odzywała się kuźnia. Od rzeki narastał szum wody i matowy terkot niewidzialnego młyna. Przeszli na drugą stronę drewnianym, pochyłym mostem i pozwolili wieść się ścieżce, biegnącej łąkami wzdłuż krętej Bystrzycy. W połowie drogi poczuli na stopach chłodną wilgoć. Mgła opadała. Zwolna, zaczęły wynurzać się kępy bliższych i coraz dalszych olch. Na przeciwnym wysokim brzegu, małe okienka chat błysnęły jak łuski i niespodziewanie ukazało się słońce.

Pod zęborzyckim młynem Bystrzyca płynęła leniwie i dziko. Z łąk wpadały do niej odwadniające rowy, wiosną pełne zamulonej wody, która wyrzeźbiła w rzecznych brzegach półkoliste zatoki. Przy jednej z nich osłoniętą gęstwiną krzaków chłopcy wycięli długie witki i zabrali się do połowu. W płytszych miejscach przejrzystej wody widać było na piaszczystym dnie ławice kiełbi. Nad nimi przemykały czujne płocie, a czasem pod sam brzeg podpływał nastroszony okoń, stał chwilę nieruchomo i znikał w głębokim nurcie.

Od łąk wiało zapachem świeżo skoszonej trawy. Gdzieś w pobliżu dzwoniła kosa. Słońce grzało tak mocno, że chłopcy pozdejmowali koszule. Brały przeważnie kiełbie. Nawlekali je za skrzela na nasadki sporządzone ze sznurka i cienkich patyczków.

Koło południa ryby przestały brać zupełnie. Nie pomogła zmiana przynęty. Żadna nie chciała się połakomić, ani na chleb, ani na polne koniki.

Jacek przedarł się przez zarośla i ruszył w głąb łąki. Spod stóp pryskały mu gromady świerszczy. Cała łąka dzwoniła ich graniem. Na czystym niebie, wysoko, jak motyl wbity na szpilką tkwił nieruchomy jastrząb. Koło przydrożnych leszczyn, tuż pod wapiennym głazem, pulsowało małe źródełko. Odnalazł je, położył się na ziemi, odgarnął rozmokłe liście i wsparty na dłoniach zanurzył w wodzie spragnione wargi. Miękka pachnąca trawa zachęcała do wypoczynku. Położył się podkładając ręce pod głowę i nagle zupełnie niespodziewanie zdał sobie sprawę z niepokoju, który towarzyszy mu nieprzerwanie. Co będzie jeśli nie zda? No cóż, w najgorszym razie trzeba będzie zaczekać rok, przygotować się i na nowo próbować szczęścia... Tak, ja mogę zaczekać, bo mój ojciec pracuje. Zarabia co prawda nędznie, ale jakoś na życie wystarczy... A co będzie jeśli nie zda Zenek, syn kowala, który od trzech lat nie może znaleźć pracy? Zenek, który przez pół roku nosił walizki, żeby zarobić na egzamin i książki? Jeśli nie zda, nikt się u niego w domu nie martwi. Przeciwnie, ucieszą się nawet, że zacznie zarabiać tak samo jak Karol... Cóż, Karolowi praca pójdzie łatwo — jest silny, potrafi sam podnieść szkolną ławkę, a Zenek słabeusz, dwa razy chorował już na zapalenie płuc.

Znad rzeki dobiegły nawoływania przyjaciół.

Zawinęli ryby w liście łopucha, przekładając je pokrzywami i ruszyli do domu. Słońce grzało teraz prosto w plecy.

— Włóżmy lepiej koszule, bo skóra zejdzie.

— A co zrobimy z rybami?

— Klenia niech Karol weźmie do domu, a resztę sprzedamy.

— A któż to kupi?

— Nie bój się, kupią. Grycmacher, albo Korman. Nieraz im sprzedawałem. Kupują nawet drobiazg, bo ich na grubszą rybę nie stać — wyjaśnił Zenek tonem starego handlarza.

Weszli do miasta od strony działkowych ogrodów i skręcili w Bychawską. Twarze ich pokrywała świeża opalenizna.

W pobliżu Czeskiej, w małym parterowym domku mieścił się „Zakład krawiecki", jak szumnie głosił żółty olejny napis. W rzeczywistości kierownikiem, majstrem i czeladnikiem była tu jedna i ta sama osoba. Stary, brodaty Grycmacher.

W zeszłym roku jedyny jego syn Moniek poszedł do wojska. Z tych czasów, kiedy pracowali jeszcze we dwóch, zostało staremu przyzwyczajenie, od którego nie mógł się uwolnić. Biorąc miarę do jakiejś zawikłanej przeróbki (szycie nowego ubrania było tu zdarzeniem rzadkim) rzucał w kąt mrocznej izby:

— Moniek, zapisz. Nie słysząc żadnej odpowiedzi, oglądał się niezaradnie i mrużąc przekrwione oczy, kreślił na brzegu gazety wielkie pokraczne cyfry.

Już z daleka chłopcy zauważyli starego przez brudną szybę.

— No, co jest, chłopcy?

— Przynieśliśmy ryby.

— Pokażcie, jakie ryby?

Karol rozwinął liście.

— Co, to są ryby? Koń by się uśmiał. To są szprotki nie ryby... Ile wy za to chcecie?

— Złotówkę za wszystko. — Zenek prowadził handel.

— Po co mi wszystko? Kto by to chciał czyścić? Mnie wystarczy połowa.

— Połowa 50 groszy.

— Za połowę, plus ten duży śledź już płacę 30 groszy — żylasta ręka powędrowała do kieszeni.

— Tego klenia nie sprzedajemy.

— Co znaczy nie sprzedajemy? To po co nosicie?

— Mogę sprzedać — wtrącił się Karol — tylko mniej niż 50 groszy nie wezmę.

— Co? Za sam kleń?

— Nie, za klenia i połowę reszty.

Targ w targ zgodzili się na czterdzieści i wyszli z zadowoleniem. Szewca Kormana nie zastali w budce. Poszedł do miasta po skórę. Z początku czeladnik nawet nie chciał słyszeć o rybach, ale w końcu zaproponował 20 groszy. Nie było rady — sprzedali.

Na rogu Dąbrowskiej podzielili się pieniędzmi i poszli do domu. W ciągu następnych dni dwa razy byli na rybach, pogoda jednak nie dopisała i skończyło się na niczym.

Nadszedł wreszcie dzień ogłoszenia wyników. Jacek i Zenek wyszli z domu o dziewiątej. Na Bychawskiej panowało dziwne podniecenie. Ludzie zatrzymywali się grupami, rozmawiali głośno i patrzyli w głąb ulicy. Jacek zaczepił stróżkę.

— Co się stało pani Józwowa?

— Znowu Żydów biją.

— Kto bije?

— A no te, orendery...*).

— Dlaczego?

— A bo ja wiem. W zeszłym roku bili, w tym jeszcze gorzej biją... U Grycmachera szyby potłukli, ale stary uciekł Bogu dzięki — dodała podnieconym głosem.

*

Przed szkołą zgromadził się tłum ludzi. Z trudem dopchali się do listy, wywieszonej na parterowym korytarzu. Na niezbyt wyrazistej kopii maszynopisu Jacek pierwszy odnalazł swoje nazwisko. Widząc jednak, że Zenek blednie, zataił swoją radość i szybko zaczął czytać nazwiska na M. Mikuły nie było. Jeszcze raz przebiegł wzrokiem całą listę i poczuł jak powoli gaśnie w nim radość. Zatrzymał się na chwilę przy nazwisku Malickiego i z całą wyrazistością przypomniał sobie słowa majora: „Drogi panie, Leszek Malicki zda na pewno..." — Tak, Leszek musiał zdać. To, że ja zdałem, to pewnie zwykły przypadek, ale Zenka, który rozwiązał prawidłowo wszystkie zadania nie ma na liście.

Jacek poczuł, że jakaś dziwna siła ściska mu gardło. Odwrócił się i w milczeniu podszedł do Zenka. Tamten stał przez chwilę nieruchomo, po czym w nagłej decyzji ruszył ku drzwiom.

Wyszli na ulicę. Wsparty o pień kasztanu czekał przed szkołą Karol. Nie spytał o nic. Odgadł po twarzach. Podszedł do Zenka, objął go ramieniem i cichym głosem powiedział: No cóż, nie martw się, trudno, widocznie ta szkoła nie dla nas... Pójdziemy razem szukać pracy, może ten egzamin lepiej nam się uda... — Ostatnie słowa powiedział z uśmiechem, ale Jackowi wydało się, że dostrzega w jego oczach wilgotne błyski, takie same jak w spojrzeniu człowieka, który za wszelką cenę stara się powstrzymać łzy.

Igor Sikirycki

*) **Pałkarze z ONR-u.**

TADEUSZ ORLEWICZ

„W Korei — twój dom"

OD dwóch miesięcy na polach Korei, na pogranicznych terenach Chin Ludowych zbiera ponure żniwo nowa forma wyrafinowanego bestialstwa: wojna bakteriologiczna. Te bomby, spadające cicho, bez eksplozji na lasy i pola, te ładunki milionów pająków, pcheł, chrząszczy, te miliony nieznanych często w Korei gatunków owadów niosą w sobie zarazę dżumy, cholery, dezynterii, niosą niszczycieli zdrowia i życia ludzkiego, niszczycieli zbóż, lasów, roślin. Te pastylki, zwykłe na oko pastylki, wystarczą, aby woda ze studni, woda ze stawu i rzek skazała po jej wypiciu człowieka na śmierć w strasznych męczarniach zatrucia. Te zabawki, podrzucane przez samoloty US-Army, przy pierwszym dotknięciu rozszarpują na kawałki nieopatrzne dzieci. Te suchary, zrzucane w paczkach, ta żywność podrzucana pod różnymi postaciami truje głodnych. Za nią ptaki podobne do wron — skrzydlaci nosiciele dżumy, za nimi szczury i myszy — szybkonodzy rozsadnicy zabójczych bakterii, które hoduje się w laboratoriach północno - amerykańskich.

✠

Od proklamowania niepodległości USA do ostatnich lat ubiegłego wieku, a zatem w ciągu 117 lat kraj ten brał udział w 114 wojnach. Skalę agresji amerykańskiej w wieku XX można określić ilością wojen, stoczonych przez ludzkość za poduszczeniem kapitalizmu, ilością nagrabionych dolarów, na których narasta nieustannie gruda brudu od „intratnych dostaw wojennych, które w każdym kraju bogaciły bogatych i rujnowały biedaków, na których narasta krew i łzy milionów".

W każdej z tych wojen narastało również bestialstwo imperializmu. Indianie padają w nierównej walce, jak osobliwy zwierz leśny wytrzebiony aż do zaginięcia gatunku. Hawaje spływają morzem krwi. Na Filipinach Mac Arthur, senior, zaprawia się w spychaniu w kratery wulkanów tysięcy kobiet, mężczyzn i dzieci.

Jakąż gorycz człowieka, który myśli po ludzku i czuje po ludzku, zawierają słowa Marka Twaina... **„uspokoiliśmy** tysiące mieszkańców wysp i pogrzebaliśmy ich, zniszczyliśmy pola tych ludzi, spaliliśmy ich osiedla i pozbawiliśmy dachu osierocone wdowy i dzieci, wypędziliśmy z kraju i rozbiliśmy serca licznych niepożądanych dla nas patriotów, a pozostałych dziesięć milionów ujarzmiliśmy za pomocą „dobrowolnej asymilacji". To o tej właśnie soldatesce amerykańskiej mówił Lenin: „ukazała się w roli najemnego kata, który dla bogatych lotrów zdławił w roku 1898 Filipiny". USA rozpoczęły pożogą i zgliszczami karierę kolonizacyjną.

Im mniej terenów eksploatacji i wyzysku w świecie kapitału, im bliższy kres ustroju wyzysku i grabieży, tym ostrzej naciera imperializm amerykański. Zbrodniczy dolar wiąże się z koncernami hitlerowskich Niemiec. To właśnie IG Farben, producent gazów do komór oświęcimskich, korzysta w pełni z usług amerykańskiego Standard Oil. To właśnie z amerykańską firmą uzgadniają hitlerowcy metody budowy pieców... krematoryjnych w obozach śmierci. To wielki bankier nowojorski skupywał od hitlerowskiego Reichsbanku złote zęby pomęczonych ofiar gestapo. „Niech świat będzie pustynią, byleby był nasz, amerykański".

I przy głównej kwaterze Hitlera był wydział wojny bakteriologicznej. Kierował nim generał Schreiber, ten sam, którego w roku 1951 zaangażowało amerykańskie ministerstwo lotnictwa do pracy w wydziale „medycyny zapobiegawczej", bo tak się tam nazywa ludobójczy proceder.

I w Japonii przy sztabie generalnym funkcjonowali „strategowie wojny bakteriologicznej cesarstwa japońskiego" Shiro Ishii, Jiro Wakamatsu, Masajo Kitano, dziś zatrudnieni w amerykańskich ośrodkach „badań". Dowody? Oto proces japońskich zbrodniarzy wojennych w Chabarowsku. W latach 1936 — 1945 działały na terenie Mandżurii dwie jednostki, nr 100 i nr 731, otoczone największą tajemnicą. „Jednostka nr 731 — zeznawał Yamada — została zorganizowana w celu przygotowania wojny bakteriologicznej głównie przeciw Związkowi Radzieckiemu, jak również przeciwko Mongolskiej Republice Ludowej". Jednostka nr 100 „wytwarzała broń dla tej wojny i wykonywała zarządzenia dywersyjne, tj. zakażano bakteriami epidemicznymi miejsca wypasu bydła i zbiorniki wody. W samej tylko jednostce nr 100 można było wyprodukować 30 trylionów (30.000.000.000.000.000) bakterii". Zbrodnia „strategów wojny bakteriologicznej cesarstwa japońskiego" została przerwana. Jak przerwana została zbrodnia ludobójstwa spod znaku swastyki.

Ale znaleźli się naśladowcy i kontynuatorzy tego niepojętego bestialstwa.

W roku 1946 amerykańskie czasopismo „Atomic Science" donosi: „...bakterie, hodowane w laboratoriach amerykańskich, mogą być zrzucane przez samoloty. Są to przeważnie zarazki cholery, dezynterii, dżumy". W tym samym czasie pokaźna grupa bakteriologów japońskich, figurujących na liście zbrodniarzy wojennych, przybywa do USA. W dniu 12 marca 1948 roku Forrestal, na krótko przed swoim samobójstwem stwierdza wobec Kongresu: „Z polecenia rządu USA przeprowadzane są eksperymenty, mające na celu użycie broni bakteriologicznej". W roku 1949 niespodziewanie w kilku miejscowościach Kanady wybucha ostra epidemia dżumy, choroby nigdy niespotykanej w tym kraju. Rząd kanadyjski czynił wszystko, aby wiadomościom tym urwać łeb, ponieważ okazało się, że dżuma wybuchła właśnie na terenach, zastrzeżonych dla „ćwiczeń" armii USA.

W roku 1950 Louis Johnson, ówczesny minister wojny w Stanach Zjednoczonych, pragnąc uspokoić Wall Street powiada: „Zapewniam Was, że doskonale zdajemy sobie sprawę z możliwości leżących w dziedzinie prowadzenia wojny chemicznej i bakteriologicznej, jak również w dziedzinie wojny radiologicznej". Uspokoić trzeba było, bo ostatecznie w Maryland na owe doświadczenia idą miliardy, bo ostatecznie i w Niemczech Zachodnich powierzono I. G. Farben produkcję tego samego rodzaju, bo od roku 1951 najważniejsze laboratoria bakteriologiczne w Trizonii są pod bezpośrednią kontrolą Mac Cloya, wicekróla USA w Niemczech adenauerowskich, bo jak przyznaje generał Macanliffe, szef takiej jednostki jak japońska nr 100 lub nr 731, „korpus jego wydaje ponad 12 miliardów dolarów na badania w dziedzinie wojny bakteriologicznej i chemicznej".

Nawet hitlerowscy ludobójcy, którzy przerazili świat potwornością zbrodni, którzy znaczyli swój pochód Warszawą, Lidicami, Oradour sur Glane, Katyniem i Oświęcimem, nie ośmielili się użyć broni chemicznej czy broni bakteriologicznej. Nawet japońscy faszyści, straszniejsi od swoich partnerów po drugiej stronie osi, tylko w głębokiej tajemnicy i w ostatecznym odwrocie zdecydowali się wykorzystać broń generała Ishii, Wakamatsu i Kitano.

Uczniowie przeszli swoich mistrzów, bo też w mateczników mistrzom i uczniom coraz ciaśniej. Krwawy imperializm wyhodował hitleryzm i faszym włoski i japoński. Od praktyk soldateski amerykańskiej na Hawajach czy Filipinach do praktyk gestapo w Europie niedaleka droga. Niedaleka też droga od Guderianów, Mannsteinów, Speidlów, Wakamatsu do Mac Arthura, do Ridgwaya, do zbrodni w Korei.

✠

Krwawi oprawcy narodów spod znaku dolara stracili nadzieję na złamanie oporu bohaterskiego narodu Korei. Władcy Wall Street stracili nadzieję przygotowania sobie dogodnego przyczółka wypadowego na Chiny Ludowe. Waszyngton stracił nadzieję na przygotowanie terenów bezpośredniej agresji przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Wydobyta więc została broń, która zrywa ostatecznie maskę z imperialistów amerykańskich, zrywa ją wobec wszystkich, nawet tych, których oczy przesłaniało dotąd bielmo.

Dwa blisko lata wojny w Korei ukazują jaskrawą klęskę prestiżu rzekomo niezwyciężonej, rzekomo najpotężniejszej US-Army. Mały naród, ale naród wielkich tradycji, potrafił dać odpór całej nawale zbrojnej USA i jej wasalów. Potrafił stawić zwycięsko czoło najmitom międzynarodowego kapitału, uzbrojonym w nowoczesne wyposażenie i w okrucieństwo przechodzące wzory SS i oddziałów Hirohito.

„Na polach Korei rozwiał się mit amerykańskiej siły zbrojnej i w niwecz obrócone zostały nasze hasła o wolnym świecie" — utyskuje New York Times. Tak, te hasła, które za hitlerowskich czasów figurowały nad bramą każdego obozu koncentracyjnego: Arbeit macht frei. Tak, te hasła, za którymi idzie mord dzieci i kobiet, torturowanie jeńców, katyńskie metody na wyspie Kożedo, pchły zarażone dżumą, ptaki zarażone cholerą, szczury, nasycone bakteriami tyfusu.

Nie bez przyczyny krwawy imperializm amerykański właśnie teraz bakteriom, epidemiom, zarazie każe walczyć za astronomiczne zyski swoich koncernów, które mocno podreperowały swoje interesy na wojnie w Korei i na podgrzewaniu zimnej wojny. Generał — dolar lubi pakty zbrodnicze. Jego partnerami w tych paktach są dobrze wytresowani w zdradzieckiej robocie churchillowie, pinaye, franki i titoiści. Ale w tym obozie imperialistycznym spójnię interesów coraz bardziej rozszarpują sprzeczności. Wojna w Korei, straszna i bezprzykładna, toczona wszelkimi sposobami przez USA ma być tym widomym, groźnym szachem dla zmarshallizowanych wasali. Staje się już szantażem.

✠

Na jednym z trasparentów w czasie obrad światowej rady pokoju widniał napis: „W Korei — twój dom". — Bo też w Korei trwa walka zbrojna nie tylko o pokój, o sprawiedliwość, o wolność dla ludu koreańskiego, tam trwa walka o wolność dla całej ludzkości, nierozłącznej w swej walce przeciwko imperializmowi.

To właśnie dla obrony twego domu oddziały ochotników chińskich wspierają koreańską armię lądową. To właśnie dla obrony twego domu, ZSRR i kraje demokracji ludowej ślą ludowi koreańskiemu pomoc w żywności i odzieży. To właśnie dla obrony każdego domu cała postępowa ludzkość woła: **Ręce precz od Korei.** Dlatego argentyński Peron musiał zrezygnować z wysłania posiłków dla USA na Koreę, bo lud argentyński nie będzie walczył przeciwko krajowi, w którym rozstrzygają się losy również i domów ludu Argentyny. Dlatego ludność Meksyku odpowiedziała protestem milionów na podobne próby swojego burżuazyjnego rządu. Dlatego w Afryce ludy murzyńskie biją na alarm przeciwko pędzeniu ich na pola koreańskie w mundurach US-Army.

Od Tunisu do Sajgonu, od Mexico-City do Tokio, od Paryża do Filipin narasta, potężnieje świadomy, zorganizowany czynny bój milionów o pokój.

Ziemia płonie. Grunt usuwa się spod nóg imperialistom. Potężny miliard gorących serc i twardych rąk atakuje, w imię pokoju, w imię ludzkości.

Atakuje budowlami komunizmu w Kraju Rad. Atakuje Widzowem i Kędzierzynem, Jaworznem i Żeraniem, ujarzmieniem Dunaju w Rumunii, wielkimi kombinatami pokojowej produkcji w Czechosłowacji i na Węgrzech,

(Dokończenie na str. 7-ej)

Nagrody Stalinowskie za rok 1951

RADA Ministrów ZSRR przyznała szereg nagród Stalinowskich za wybitne osiągnięcia w dziedzinie nauki i techniki, literatury i sztuki za rok 1951.

„Prawda" z dn 13 marca br. podkreśla, że szczególnie w ostatnim czasie nauka i sztuka radziecka osiągnęły niezwykłe rezultaty. „W szeregu gałęzi wiedzy uczeni radzieccy zajęli pierwsze miejsce w świecie i posunęli naprzód rozwój nauki światowej". Nagrody Stalinowskie potwierdzają zatem nierozerwalny związek między rozwojem postępowej nauki i sztuki a wolnym społeczeństwem socjalistycznym. Tylko społeczeństwo wolne od ucisku klasowego i wyzysku człowieka, mogło obrócić swoje siły na to, by stworzyć naukę i sztukę, służącą postępowi i pokojowi. Myśl ludzka pracuje tu w pełni dla narodu, wchodzi zgodnie ze wskazaniami Lenina w życie mas pracujących, z tym życiem się wiąże, podnosi je i ulepsza „Przy pomocy przodującej nauki — pisze „Prawda" — naród radziecki pod wodzą partii Lenina - Stalina rozwija przemysł i rolnictwo, buduje gigantyczne hydroelektrownie i sieć kanałów, służących nawodnieniu, przeobraża przyrodę, osiąga historyczne zwycięstwo we wszystkich dziedzinach gospodarki i życia kulturalnego. Nauka stała się osiągnięciem i własnością całego narodu, podstawą dla twórczej pracy ludzi radzieckich, wznoszących imponujący gmach komunizmu". Stało się to możliwe dlatego, że partia komunistyczna i władza radziecka otworzyły masom pracującym szeroko drogę do oświaty i nauki. Wyłoniła się nowa ludowa inteligencja, wiążąca nierozerwalnie praktykę z teorią. Proces powstawania wielkich budowli komunizmu wydobył z głębi mas ludowych niesłychany pęd do nauki i techniki, zwielokrotnił oddolną wynalazczość. Nawiązała się twórcza współpraca ludzi nauki i praktyki, ludzi myśli i czynu. Twórcza inicjatywa mas pracujących zapłodniła postępową naukę i technikę swym doświadczeniem, wzbogaciła dotychczasowe zdobycze, utorowała drogę nowemu.

Wśród laureatów znajdują się przedstawiciele różnych narodowości. Po raz pierwszy nagrody w zakresie literatury i sztuki otrzymali m. in. postępowi twórcy spoza Związku Radzieckiego. Fakt ten podkreśla jeszcze silniej międzynarodowe znaczenie nagród Stalinowskich. Wyłączają one drogę talentom, służącym sprawie ludzkości, podkreślają ścisły związek między postępową nauką i sztuką a walką o zachowanie pokoju na świecie.

Przyznanie nagród Stalinowskich, charakter prac wyróżnionych ma szczególnie aktualną wymowę na tle obecnej sytuacji międzynarodowej. Rządzące koła imperialistyczne wykorzystują naukę do haniebnej służby w celach wojny, niszczenia kultury i ludobójstwa Trud uczonego w USA obracany jest przeciw ludzkości. Myśl ma służyć zagładzie. Tymczasem w ZSRR partia i rząd natchnęły uczonych do nowych wynalazków o charakterze wybitnie pokojowym. Nagrodzeni twórcy kultury służą budownictwu pokojowemu, rozwojowi dobrobytu i jeszcze większemu podniesieniu poziomu kultury.

W tej chwili cała postępowa ludzkość wyraża gniew i oburzenie z powodu dokonywanych przez imperialistów amerykańskich zbrodni. Protestuje przeciw użyciu doświadczeń nauki w celach zagłady całych narodów. Wymowę protestu przeciw niesłychanemu aktowi nikczemnej zbrodni mają m. in. także nagrody Stalinowskie. Wykazują one jasno, że ZSRR służy sprawie kultury i zachowania pokoju, rozwija zdobycze ludzkości, czyni życie lepszym i piękniejszym. Dzieła nagrodzone uwydatniają jaskrawą różnicę między rolą nauki i sztuki w społeczeństwie socjalistycznym i państwach imperialistycznych.

Nagrody Stalinowskie stanowią jeszcze jeden ważny etap w walce o pokój i rozwój postępowej kultury. Prace wyróżnione uczą walki o wolny świat, o demokrację i pokój, o szczęście całej pracującej ludzkości. Jednoczą do tej walki, mobilizują najlepsze siły ludzkości, prowadzą twórców ku postępowi.

Wśród nagród przyznanych za 1951 r. długą listę obejmują wyróżnienia w dziedzinie literatury.

Rok 1951 wysunął w literaturze radzieckiej szereg nowych nazwisk, uwydatnił twórczy wzrost młodego pokolenia, przyczynił się walnie do dalszego rozwoju literatury i sztuki w ZSRR. Z drugiej strony — rok ten bardziej niż poprzednie lata podniósł oddziaływanie przodującej literatury ZSRR na narody, walczące z uciskiem imperialistycznym. Podkreśleniem międzynarodowej roli literatury radzieckiej, jej wpływu na literaturę innych narodów. jest tegoroczne przyznanie nagród m. in. pisarzom Chin, krajów demokracji ludowych oraz przedstawicielowi postępowej Francji.

Krytyka radziecka uważa, że największą zdobyczą prozy w ubiegłym roku była zdolność epickiego odtwarzania życia mas ludowych. Te wielkie zalety wyznaczają charakter epopei historycznej S. Złobina p. t. „Stiepan Razin" oraz powieści W. Łacisa p. t. „Ku nowemu brzegowi". Obie książki otrzymały pierwsze nagrody w dziedzinie prozy. „S. Złobin — pisze „Prawda" — dobrze zbadał treść epoki, materiał historii, głęboko wniknął w sens przedstawianych wydarzeń. Odtworzył realistycznie w pełnowartościowych obrazach artystycznych motoryczne siły powstania ludowego Razina, ukazał społeczną bazę ruchu, odmalował charakter występujących podówczas historycznych postaci. Powieść została napisana obrazowym, soczystym językiem". Zasadniczą zaletą powieści W. Łacisa jest ukazanie ludu łotewskiego, jako głównego bohatera historii. Autor przedstawił realistycznie przejście od okresu panowania burżuazji na Łotwie do ustroju radzieckiego, od indywidualnego chłopskiego gospodarstwa do kolektywizacji wsi Na tym materiale Łacis ukazał wnikliwie walkę nowego ze starym, przeobrażenie się życia i charakteru ludzi, odmalował wreszcie pęd chłopstwa do kolektywizacji, jako ruch ludowy, głęboko narodowy.

Niesłabnąca aktualność walki o pokój i budowania życia na nowych, społecznie sprawiedliwych podstawach znalazła swój wyraz także w nagrodach w zakresie prozy drugiego stopnia. Otrzymali te nagrody: Wanda Wasilewska za trylogię „Pieśń nad wodami", składającą się z trzech powieści (Płomień na bagnach, Gwiazdy w jeziorze, Rzeki płoną) i odtwarzającą walkę wyzwoleńczą ludu polskiego i białoruskiego; Jarosław Gałan za pamflety skierowane przeciw Watykanowi wydane w zbiorze p. t. „Utwory zebrane", pisarka chińska Din Lin za powieść p. t. „Słońce nad rzeką Sangań"; pisarz radziecki M. Zadornow za powieści: „Nad Amurem", „Daleki kraj", „W stronę oceanu", przedstawiające życie syberyjskiego pogranicza; O. Malcew za powieść pt. „Jugosłowiańska tragedia", której tematem jest walka narodu jugosłowiańskiego z faszystowsko - titowską dyktaturą; postępowy pisarz francuski A. Stil za powieść pt. „Pierwszy cios", odtwarzającą walkę narodu francuskiego z amerykańskim okupantem i dążeniami USA do rozpętania nowej wojny.

Nagrody trzeciego stopnia w zakresie beletrystyki otrzymali — pisarze węgierscy: T. Acel za powieść pt. „Pod osłoną wolności" oraz S. Nagy za opowiadanie pt. „Pojednanie", pisarz Chin Ludowych Czżou Li-bo za powieści pt. „Huragan" oraz pisarze radzieccy: J. Bryl (za powieść pt. „W Zabołotju świta"), Jeremi Dmitrij (za powieść o włoskim ruchu antyimperialistycznym pt „Burza nad Rzymem"), G. Markow (za powieść historyczną pt. „Strogowowie"), I. Muratow (za „Bukowińską opowieść"), L. Nikulin (za powieść historyczną p. t. „Rosji wierni synowie"), E. Popowkin (za powieść p. t „Rodzina Rubaniuk"). Wśród trzynastu laureatów - prozaików III stopnia znajduje się nadto jeden autor reportaży W. Potoracki („W drodze i w domu") i trzech pisarzy młodzieżowych: M Nosow (powieść p. t. „Witek Malejew w szkole i w domu"), W. Osiejewa (powieść pt. „Wasiek Trubaczew i jego towarzysze") oraz B. Bielajew (trylogia pt. „Stara twierdza").

W zakresie poezji pierwsza nagroda została przyznana znanemu poecie Mikołajowi Tichonowowi za cykle o tematyce pokojowej: „Dwa potoki" oraz „Na drugim Wszechświatowym Kongresie Pokoju". Nagrody poetyckie drugiego i trzeciego stopnia obejmują przedstawicieli różnych narodów radzieckich. Otrzymali je: A. Wencowa, S. Kaputikian, G. Leonidze, R. Gamzatow, Wł. Zamiatin, M. Nagnibieda, Szmuuł Juchan. Łącznie za wiersze i poematy przyznano w zakresie drugiego stopnia siedem nagród.

Skromniej wypadły dramat i krytyka. W zakresie dramatu pierwszej nagrody nie przyznano. Drugą nagrodę dostali pisarze chińscy Che Czin Czżi oraz Din Ni za wspólną sztukę (znaną szeroko z filmu) pt. „Dziewczyna o białych włosach". Nagrody trzeciego stopnia przyznano dramaturgom — A Kahharowi (za komedię p. t. „Na nowej ziemi") i P. Malarewskiemu (za historyczną sztukę p. t. „W przededniu burzy").

Krytyka literatury i sztuki może poszczycić się tylko dwiema pozycjami i to trzeciego stopnia. Nagrodzeni zostali: B. Brajnina za pracę p. t. „Konstanty Fiedin" oraz M. Gorczakow za książkę p. t. „Reżyserskie lekcje K. Stanisławskiego".

HANNA KIRCHNER

„ZESZYT ZNALEZIONY W SUNCHONGU"

POWIEŚĆ radzieckiego pisarza, z pochodzenia Koreańczyka, Romana Kima, opowiada o losach Japonii od roku 1945 do agresji w Korei. „Zeszyt znaleziony w Sunchongu" utrzymany jest w charakterze pamiętnika b. japońskiego oficera wywiadu, sługusa imperializmu amerykańskiego, który znalazł się w Korei, delegowany tam przez dowództwo amerykańskie. Ta oryginalna powieść dokumentarna w sposób niezwykle silny i demaskatorski odkrywa linie powiązań między amerykańskim faszyzmem i japońskimi koncernami oraz ich zbrojnym ramieniem. Pokazuje jak równolegle z napadem hitlerowców na Kraj Rad i ciężkimi dniami wojny ojczyźnianej rodził się wśród „sojuszników" ZSRR i rzekomych nieprzyjaciół wielki spisek przeciwko ZSRR. Pokazuje, że prowokacja koreańska i jej śmiertelne żniwo, to tylko jeden z etapów marszu na pierwsze w świecie państwo proletariackie. Wojna amerykańsko - japońska to sprytny manewr strategiczny, który zapewnił USA możliwość stworzenia w Azji bazy wypadowej przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Jest to zarazem sposób przeciwdziałania narastającym ruchom rewolucyjnym wśród ludów Azji. Klika rządząca Japonii zdaje sobie dobrze sprawę z tej wspólnoty interesów, toteż wojna przynosi śmierć i nędzę przede wszystkim masom ludowym, które płacą swoim życiem klasowe rachunki swoich rządów. Pamiętacie straszliwą wieść o Hiroszimie? Była to pierwsza manifestacja atomowa w „zimnej wojnie". Efekt jej był obmyślany nader starannie. Po pierwszym nalocie na Hiroszimę „Garnizon prawie nie ucierpiał, sztab Rejonu Zachodniego także, ale spaliło się wielu mieszkańców, między innymi kilka tysięcy ewakuowanych dzieci, które miaszkały w internatach". „W Nagasaki, gdzie zrzucono 2-gą bombę"... ucierpiało przedmieście, dzielnica, gdzie się znajdował instytut lekarski, przytułek dla starców i kościół katolicki. Sztab 18. armii doniósł, „że nie ma żadnych ofiar. Tylko ludność cywilna". **Tylko** ludność cywilna... Jeszcze chwila, a nad spalonymi zwłokami ludności podadzą sobie ręce zwyciężający i zwyciężeni. Najdostojniejszy monarcha, wdzięczny za zachowanie dynastii i obronę przed wewnętrznymi wrogami — „czerwonymi", postawi w swym gabinecie popiersie amerykańskiego prezydenta Lincolna, a japońscy militaryści cały swój kunszt morderców oddadzą skwapliwie na usługi niedawnego przeciwnika. Rozbite w kawałki niedawne marzenia o marszu na Ural troskliwie sklejono i odświeżono. Amerykańscy okupanci to nielada znawcy w tej dziedzinie. Wkrótce po zakończeniu wojny USA poczyna wskrzesać militaryzm japoński, tak jak obecnie forsownie dokarmia potwora hitleryzmu. Cel — napaść na Związek Radziecki, na cały obóz pokoju i postępu. Były oficer japońskiej służby wywiadowczej opowiada w swym pamiętniku o dziejach tych podziemnych przygotowań, gdzie żadne środki, żaden sprzymierzeniec nie jest zły. Militaryzm japoński, Czang-Kai-Szek w Chinach, Li-Syn-Man w Korei Płd. — oto sojusznicy. Demobilizacja, przeprowadzona pod naciskiem Związku Radzieckiego, który twardo stał na gruncie umowy poczdamskiej, jest fikcyjna. Zbrodniarze wojenni są uwalniani i wciągani do przygotowań wojennych. Cóż innego dzieje się obecnie w Niemczech Zachodnich?

Jest jakaś specjalna tradycja zbrodniarzy, którą przekazują sobie z rąk do rąk. Amerykanie w Korei doścignęli i prześcignęli hitlerowców. Korzystają także z wszelkich doświadczeń imperializmu japońskiego. „Naszą główną bronią — pisze w swym pamiętniku japoński oficer — była bomba „I", wynaleziona przez generała lejtnanta służby sanitarnej, Ishii Shiro. Było to niewielkie porcelanowe naczynie wielkości chińskiej dyni, nadziane najczynniejszymi bakteriami chorobotwórczymi". W grudniu 1949 r. w Chabarowsku odbył się przed Radzieckim Trybunałem Wojskowym proces 12 b. wojskowych armii japońskiej, oskarżonych o przygotowanie i używanie broni bakteriologicznej. W procesie tym Ishii Shiro był sądzony zaocznie, gdyż... znajdował się już wówczas pod ochroną USA. Amerykańscy podżegacze wojenni cenią specjalistów. Od kilkunastu dni świat wstrząśnięty oburzeniem i gniewem dowiaduje się o coraz to nowych nalotach amerykańskich bombowców, które zrzucają owady zarażone dżumą.

Książka Romana Kima jest oparta na prawdziwych dokumentach. Skonstruowana w formie relacji japońskiego faszysty demaskuje w ten sposób całą perfidię amerykańsko-japońskich planów. Przemawia tylko zestawieniem faktów i w tym jej wstrząsająca wymowa.

Długa praca nad remilitaryzacją Japonii oraz nad umocnieniem się w Azji dała w wyniku napaść na Koreę, perfidnie przypisaną stronie napadniętej. Nie chodzi tu przecież tylko o Koreę. „Południowa część tego półwyspu — zwierza się amerykański oficer swemu japońskiemu współpracownikowi — nazywa się teraz republiką Taihan, a w północnej jak wiecie, ugruntowali się koreańscy czerwoni. Oni nam zagradzają drogę do Jalu i dalej. Dlatego trzeba ich usunąć".

Autor, operując tylko zwięzłą relacją i faktami, otrzymuje efekty pełne posępnej, oskarżycielskiej ironii. Oto np. metody pracy wywiadowczej. Werbuje się do roboty szpiegowskiej uchodźców z Korei Płn.: wielkich przemysłowców, obszarników i byłych współpracowników japońskiej policji, członków sekt religijnych („Większość misjonarzy amerykańskich, do których zwróciliśmy się, zgodziła się napisać do swoich byłych dzieci duchowych w Korei Płn. listy z poleceniem spełnienia chrześcijańskiego obowiązku: udzielenia oddawcy listu jak najdalej idącej pomocy"), wyzyskuje się dla wykonywania aktów terrorystycznych relikty ideologiczne epoki feudalnej — zemstę rodową. Wszelkie dziedziny świadomości kształtuje imperializm na obraz i podobieństwo swoje, aby wykorzystać dla swoich celów. Mentalność faszystowskiego barbarzyńcy nie ma w sobie ludzkich cech. Nawet tak podstawowe uczucie jak miłość rodzinna zostaje zohydzona, zwulgaryzowana, pozbawiona wszelkich elementów humanizmu: „Hush-hushowi ta kombinacja (plan skrytobójczego mordowania działaczy północnej Korei) tak przypadła do smaku, że przy wyborze szyfrowanej nazwy dla niej kazał ją nazwać „Nancy", tłumacząc, że idzie za przykładem pułkownika Tibetsa, bo ten ostatni nazwał swój samolot, z którego rzucił bombę atomową na Hiroszimę, „Enorą", imieniem swojej matki".

Jest w książce jedno z takich miejsc, które przez swą nieświadomą (w intencjach narratora) ironię, stanowi wspaniałe uogólnienie, skrót satyryczny: „Wszystkie przedsięwzięcia związane z formowaniem oddziałów i skierowywaniem ich na Taiwan postanowiono nazwać operacją „Wako" Nazwa wszystkim się spodobała. Przed sześciu laty nasi przodkowie myszkowali po wszystkich morzach Azji Wschodniej. Pierwszych japońskich napadów na Taiwan dokonali piraci zwani „wako". I znowu teraz jadą na morza południowe nasze odważne zuchy, wznosząc modlitwy do naszego boga wojny Yumiyi Hachimana". Są to istotnie piraci ludzkości. Przynieśli w nasze czasy krwawe tradycje przemocy i zbrodni, jakie stworzyli władcy pieniądza odkąd historia zaczęła być historią społeczeństw klasowych. Są to wrogowie nie tylko ludzi, a nawet ziemi, zwierząt, drzew, roślin, wrogowie rozwoju. „Na przykład w wielu okolicach Nowej Gwinei z amerykańskich samolotów zrzucono specjalne bomby w celu zatrucia posiewów ryżu i trzciny cukrowej". Koreę — piękny „Kraj Porannej Świeżości" obracają w popiół, mordując co dzień tysiące ludności cywilnej, kobiet i dzieci. A przecież jest siła, której nie zmogą nigdy, której boją się tak jak niczego w świecie. Tą siłą jest gorące umiłowanie pokoju i wolności u prostych ludzi na całym świecie. Stąd na kartki książki „Zeszyt znaleziony w Sunchongu" wraca wciąż obraz walki ludu japońskiego przeciwko galwanizowaniu japońskiego faszyzmu i walka ta spędza sen z powiek władcom tego kraju. Pod wpływem komunistów znajdują się żołnierze, komuniści organizują szeroko zakrojoną akcję walki o pokój, przeciwko remilitaryzacji Japonii. Coraz mniej jest ludzi, którzy będą chcieli ginąć i zabijać innych w imię akcji i dywidend garstki imperialistów. „Strachem humor — opowiada japoński oficer — przed oczyma stali mi wciąż mali gazeciarze. Za sześć, siedem lat będą w wieku poborowym. Tamci uczniowie, którzy owego ranka nie chcieli umrzeć i uciekli z placu, już są w wieku poborowym. A ten mężczyzna, co rzucił flaszkę, to były żołnierz. Na nikogo z nich nie można liczyć". Nie pomagają represje, morderstwa i broń atomowa, czy wodorowa. W Korei Amerykanie porzucają najlepszą broń, otoczeni są ze wszystkich stron — walczy z nimi każdy mieszkaniec tej ziemi. „Robert Han opowiadał mi, że oddział koreańskich dziewcząt uzbrojony w staroświeckie strzelby myśliwskie bił się pod Sinchonem do ostatniego naboju. Nie poddał się nikt." Patriotów koreańskich prowadzi do bohaterskiej walki potężna świadomość — ich głębokie umiłowanie wolności — siła, która od wieków rośnie i wzmaga się, niczym nie zwalczona. Wiedzie ich do walki przykład ludzi radzieckich, „...nasze konspiratorki — mówi koreański dowódca — dodają do swego numeru albo pseudonimu imię Zoi na znak, że idą za przykładem rosyjskiej bohaterki. A wszystkie nielegalne grupy młodzieży nazywają się „Młodą Gwardią". I w Phenianie, i w Anju, i Rhenmi..."

Nie można ich zwyciężyć. Nie można zabić w nich wiary w to zwycięstwo. Nie można, bo sprawa ich jest słuszna, bo za nimi są miliony na całym świecie. „Święta walka idzie krwawa, bój śmiertelny nie dla sławy, lecz by móc na świecie żyć".

Książka mówiąca o haniebnym spisku bankrutów, o drogach oszustwa, śmierci i przemocy kończy się okrzykiem zwycięskiej wiary w życie, w ludzkość: „Żołnierze zaśpiewali głośno pieśń o generale Kim Ir Senie i poszli dalej — na południe. Wiedzieli, że czeka ich jeszcze wiele walk, wiele trudności, wiele prób, ale czeka ich też — zwycięstwo nad wrogami ludzkości. Wolna, niezawisła Korea, mansail! Pokój na całym świecie, mansail!".

Hanna Kirchner

EDMUND NIZIURSKI

Pierwowzór — korespondencja terenowa typu interwencyjnego *)

ISTOTNĄ cechą opowiadań Kuśmierka, cechą, która wyróżnia je w sposób wyraźny od szeregu innych publikacji pokrewnego gatunku, jest to, że mają nader rzadką w dzisiejszej literaturze właściwość: wzruszają. Niektóre ich momenty wstrząsają. Mało przypominam sobie w powojennej literaturze fragmentów, które by na mnie zrobiły równie silne wrażenie, jak scena pożaru w Rąbielewie. Gdzie leży ta niezwykła zdolność Kuśmierka do wzruszania?

W jaki sposób on to robi?

Józef Kuśmierek

Opowiadania Kuśmierka są niewątpliwie rezultatem doskonałego znawstwa terenu i spraw, o których pisze. Widzę i rozróżniam tu jednak znawstwo dwojakiego rodzaju. Pierwsze to znawstwo konkretnego konfliktu i jego przebiegu oraz niezwykła bystrość i zręczność w wyłuskiwaniu tego konfliktu z rzeczywistości terenowej. Kto bywa w terenie wie, jak ciężko w gąszczu faktów, w natłoku wrażeń upolować tak zwaną „grubszą zwierzynę". Niektórzy piszący radzą sobie w ten sposób, że jadą w teren z gotowym schematem, wyłącznie dla „sprawdzenia realiów" i zadowoleni są, jeśli odkryją, że rzeczywiście ludzie na wsi chodzą na dwu nogach.

O tych autorów się nie martwcie! Nie dadzą się zbić z tropu. A jeśli okaże się nawet, że rzeczywistość wygląda inaczej niż to sobie umyśleli, to tym gorzej dla rzeczywistości. Inni mniej zadufani w sobie często po prostu gubią się i popadają w schematyzm jeszcze gorszego gatunku, to znaczy w różnego rodzaju monografie wsi, gdzie brak rzeczywistych konfliktów usiłują zastąpić bezpłciowym, ogólnikowym opisem „wszystkiego" po kolei.

Szkice Kuśmierka nie podlegają ani jednej, ani drugiej manierze. Ich siłę stanowi fakt, że narodziły się w terenie i stamtąd się wywodzą. Z drugiej strony autor nie łakomi się na tak zwany „pełny obraz wsi", bo wie, że pisać o wszystkim na kilkudziesięciu stronach, to znaczy nie napisać o niczym. Kuśmierek posiada natomiast niezawodny klucz do rozszyfrowywania zagadnień terenu. Wdraża się w rzeczywistość ostrzem jednego konfliktu, jednej sprawy. Bieda Adachowej, sprawa konia, sprawa pożaru w Rąbielewie to są te wybrane, konkretne sprawy, te wycinki rzeczywistości, w których odbijają się problemy szersze, problemy podstawowe. Czy to znaczy, że w opowiadaniach Kuśmierka nie mieści się obraz wsi i jej stosunków klasowych. Wprost przeciwnie. Narasta on wokół tych spraw niespostrzeżenie, jakby mimowoli, ale tym bardziej sugestywnie i przekonywająco.

Bieda Adachowej, sprawa konia, sprawa pożaru, to są te sprawy, które mógł zaobserwować i usłyszeć w terenie bystry dziennikarz. Jest jednak w opowiadaniach Kuśmierka znawstwo głębsze, znawstwo człowieka i środowiska, znawstwo powszednich konkretów, bez którego stworzenie wybitnego dzieła literackiego jest niepodobieństwem. Tej wiedzy nie dadzą miesięczne pobyty w terenie. Tu trzeba doświadczenia lat. Tu trzeba przejęcia się dolą chłopa i zrozumienia chłopa, jakie daje przede wszystkim poczucie klasowej z nim więzi.

Temu znawstwu i tej więzi towarzyszy u Kuśmierka czynnik drugi i równie decydujący — szczera namiętność autora, pasja z jaką obnaża on krzywdę ludzką, głęboka nienawiść do krzywdzicieli.

Ta pasja autora wpływa również decydująco na wybór i organizację materiału literackiego. Opowiadania Kuśmierka podporządkowane są bezwzględnie jednemu zasadniczemu tonowi krzywdy.

Tu jednak kryją się i poważne niebezpieczeństwa. Dla dobra sprawy muszę je nieco przejaskrawić: By osiągnąć siłę wyrazu, by do głębi wzruszyć i wstrząsnąć autor musiał dokonać selekcji pod kątem spiętrzenia nieszczęść, walących się na głowy jego bohaterów. Musiał przymknąć oczy na wszystko, co mogłoby osłabić ten zasadniczy ton krzywdy.

Tutaj mała dygresja. Walcząc ze schematyzmem należy zawsze bacznie zwracać uwagę, gdzie kończy się „wszystkoizm" a zaczyna wykrzywienie podstawowych proporcji rzeczywistości. Flaszen wyszydzał pokazywanie głupiego wroga, którego od początku łatwo zdemaskować i unieszkodliwić. Wydaje mi się, że w swej pasji obnażania krzywdy Kuśmierek popadł (wybaczcie niezręczne słowo), w schemat odwrotny. Co prawda, to jeszcze nie jest schemat, bo na razie Kuśmierek jest pierwszy. Otóż jest to schemat tego rodzaju, że charakter ciemny, w przypadku Kuśmierka bogacz — jest mądry, przedsiębiorczy, zapobiegliwy i ma szczęście, biedniak natomiast jest głupi, bezbronny, niezaradny, oszukiwany i nie ma szczęścia. W tym schemacie wszystko udaje się bogaczowi, nic nie wychodzi biedniakowi, którego wszystko bije po kolei, a na końcu on sam się bije własnymi rękoma.

Ten schemat był prawdziwy i typowy dla czasów kapitalistycznych, ale w Polsce Ludowej? Podstawowym założeniem metody realizmu socjalistycznego jest ukazywanie i akcentowanie przede wszystkim tego, co się rozwija, co rośnie, co zwycięża, choćby jeszcze na razie było słabe i mało widoczne, a nie tego, co choć jeszcze dominuje — kurczy się, obumiera, ustępuje. Tymczasem u Kuśmierka wprost przeciwnie. O czym mówią jego opowiadania? — O upadku pracującego chłopa, o jego bezbronności, o jego przegranej. Wykoleja się Adachowa, zanim ktoś podał jej pomocną rękę. Rujnuje się Zawidowski. Zdradza Kocik. Tutaj należy zaprotestować już w imię jakiejś zasady, ale po prostu na podstawie doświadczeń terenowych. Wypadki, jakie opisuje Kuśmierek miały miejsce, były to jednak wypadki mało typowe, po prostu rzadkie.

Co więcej, sam Kuśmierek czuje, że pesymistyczne zakończenie opowiadania kłamałoby podstawowym proporcjom naszej rzeczywistości, w której przecież mimo istnienia takich wypadków, jak sprawa Adachowej i Zawidowskiego wzrasta świadomość pracującego chłopa i kurczą się możliwości wyzyskiwania go przez bogacza. Dlatego czuje się w obowiązku zakończyć swe opowiadania mimo wszystko optymistycznie. Lecz tutaj zaczyna się dramat. Ogólną tendencją opowiadań jest, że biedniak w rozgrywce z bogaczem przegrywa a autor chce na zakończenie pokazać, że jednak nie jest tak źle, że sprawiedliwości stanie się zadość, że wróg zostanie zdemaskowany i ukarany. Stąd biorą się owi dziennikarze, którzy zjawiają się systematycznie pod koniec opowiadania, kiedy autor nie wie, jak się wywikłać ze sprawy. Stąd i chwyt formalny. Żeby to pojawienie się dziennikarza nie miało posmaku sztuczności, autor bierze opowiadanie w ramki relacji dziennikarza.

Powróćmy jeszcze raz do rzekomego szablonu konstrukcyjnego opowiadań Kuśmierka. Ktoś złośliwy, mógłby przedstawić go w taki sposób. Pracujący chłop zostaje oszukany i wyzyskany przez bogacza, przy czym bogacz posługuje się biurokratami i kumotrami zagnieżdżonymi jeszcze tu i ówdzie w dołowym aparacie państwowym. Na ślad klęski biedniaka natrafia przypadkowo dziennikarz, dziennikarz robi szum, następuje zdemaskowanie kułaka i jego kliki, przy czym starostowie i odnośni sekretarze organizacji partyjnych przecierają oczy i składają odpowiednią samokrytykę.

Zauważmy, że mimo tego schematu konstrukcji, w rzeczywistości w opowiadaniach Kuśmierka nie odczuwamy żadnej schematyczności. Dlaczego tak się dzieje? Między innymi dlatego, że powodem schematyzmu nie jest w zasadzie sam schemat konstrukcji, lecz pokazywanie ludzi wyłącznie w ich funkcji klasowej i społecznej czy politycznej i negowaniu ich sylwetki psychicznej i biologicznej, a tego niebezpieczeństwa Kuśmierek zdecydowanie uniknął.

Opowiadania Kuśmierka udowadniają również, że przyczyna schematyzmu nie leży w skrótowości i zwięzłości relacji.

Trudno sobie bowiem wyobrazić opowiadania równie zwarte jak szkice Kuśmierka. W tym leży też, jak mi się zdaje, jedna z przyczyn ich nieprzeciętnej czytelności. W tym co nam daje Kuśmierek nie ma nic niepotrzebnego. Jego opowiadania to jedna żywa akcja.

Spotkałem się również ze zdaniem, że szkice Kuśmierka są konspektami powieści. Nic bardziej fałszywego. Szkice Kuśmierka to swoisty gatunek literacki, a nie jakaś niewypierzona powieść. Oczywiście tematy podane przez Kuśmierka mogłyby zostać wykorzystane do powieści lecz nie w sensie mechanicznego rozbudowania jego szkiców.

Opowiadania Kuśmierka cechuje wartki tok narracji, nieobecność, względnie nikłość dialogów, nieobecność, względnie nikłość scen i obrazów. Autor ustawicznie referuje, zdaje sprawę z tego, co się wydarzyło i komentuje. Odbiera przez to swym postaciom ową literacką fikcję autonomiczności, są to tylko świadkowie procesu, czy wywiadu, który przeprowadza dziennikarz i sędzia śledczy w jednej osobie. Najmniej rozwinięte literacko jest opowiadanie pierwsze, „Bieda Adachowej", najwięcej opowiadanie trzecie „Pożar". Tutaj mamy już sugestywną i szeroko zakrojoną scenę pożaru, a'e i w niej pochłania nas niemal wyłącznie wspaniały epicki opis i komentarz autora. „Pożar" jest to zresztą jedyne opowiadanie, gdzie bohater przeżywa procesy kształtowania się świadomości. Rzecz jednak charakterystyczna, że jest to w dużym stopniu raczej proces regresji świadomości i odżywania w sproletaryzowanym chłopie instynktu posiadacza. Dopiero pod koniec mamy znów ów łamaniec psychologiczny: Kocik jednak się przełamie i przystąpi do spółdzielni produkcyjnej. Tu jednak czytelnik już autorowi nie bardzo dowierza.

Jak daleka droga dzieli opowiadania Kuśmierka od kształtu powieści wskazuje to, że Kuśmierek często w najbardziej przełomowych momentach, zasłania się zdawkowym komentarzem. Pisze np. „Adachowa zaczęła pić. Nałóg pogrążył ją zupełnie w oczach wsi". Powieściopisarz musiałby to wszystko **pokazać, uprawdopodobnić** sytuacyjnie. To znaczy przerabiać partie narracyjne, odautorskie w sceny i dialogi. I wtedy mogło by się okazać, że postaci, które wypadły żywo i przekonywająco w szkicu Kuśmierka, staną się blade i nieprzekonywające w powieści. Bo w powieści musiałyby działać, nie wystarczyło by ich bierne figurowanie w aktach sprawy. To samo z niezłożeniem apelacji przez Zawidowskiego, w „Sprawie jednego konia". Kto wie czy powieściopisarz, zmuszony do pokazania i udokumentowania tego, co Kuśmierek zbył jednym lakonicznym zdaniem, nie wywróciłby się na tej psychologii Zawidowskiego.

W każdym razie w powieści jeszcze wyraźniej dało by się odczuć skrzywienie widzenia rzeczywistości przez Kuśmierka. Nie dało by się tu wyminąć roli partii, organizacji społecznych. Bohaterowie tacy jak Adachowa i Zawidowski nie uniknęliby pytania: dlaczego daliście się zgnieść? W powieści ta nieobecność partii i bodaj przysłowiowego jednego sprawiedliwego i świadomego wśród sąsiadów a nade wszystko ten brak oporu biedniaka i średniaka, wobec wyzysku wydałby się o wiele bardziej rażącym.

Jakie stąd wypływają wnioski warsztatowe dla pisarzy współczesnych? Uważać przy selekcji materiału na typowość opisywanego zjawiska. Pisać z pasją ale nie dać się zaślepić pasji. Co osiągnąć chciał autor? Chciał pokazać i zohydzić wyzysk kułacki, chciał wzbudzić w czytelniku protest i nienawiść do wroga klasowego, wzniecić w czytelniku wolę walki o sprawiedliwość społeczną, przedstawić, jak łatwo chłop pracujący staje się łupem silniejszego ekonomicznie bogacza, chciał wreszcie przykładem upadku pracującego chłopa zniechęcić go do gospodarki indywidualnej i zaagitować do spółdzielni produkcyjnej. Jest właśnie rzeczą dyskusji, czy ten ostatni zamysł udał się? Wiemy bowiem, że droga chłopa do spółdzielczości produkcyjnej wiedzie poprzez wzrost świadomości klasowej, poprzez wzrost zaufania chłopa do gospodarki spółdzielczej i państwowej, poprzez zgniecenie autorytetu i przewagi kułackiej, poprzez jego udział w zbiorowych formach życia wsi.

Gdyby upadek, osamotnienie, i opuszczenie biedniaka miały go prowadzić na tory gospodarki spółdzielczej, należało by pozbawić go wszelkiej opieki i poudać nieskrępowanemu wyzyskowi kułackiemu w myśl założenia im gorzej, tym lepiej. Oczywiście, to byłaby bzdura. To by oddalało naszego biedniaka od spółdzielczości. W rzeczywistości droga do spółdzielczości produkcyjnej prowadzi przez jak najdalej idącą wszechstronną polityczną, gospodarczą i kulturalną pomoc, przez ograniczanie kułactwa, przez klasową politykę w spółdzielczości zaopatrzenia i zbytu, przez te wszystkie mosty do spółdzielni produkcyjnej, które władza ludowa przerzuca pracującemu chłopu. Tych mostów, ani nawet początku budowy tych mostów u autora prawie nie widać.

Obroną autora jest w takich wypadkach twierdzenie, że nie chce upiększać rzeczywistości, że w tym czasie, na tej wsi, którą zna, żadnych „mostów" nie było. Lecz to nie jest prawda. Prawdą jest tylko, że mostów tych autor nie zobaczył, że rodzące się „nowe" uszło jego uwagi jako jeszcze zbyt niepozorne, zbyt mało rzucające się w oczy. Takie ustawienie jest statyczne i niesłuszne. Siedem lat Polski Ludowej to okres ustawicznych przemian i rozwoju, to rewolucja. A zmiana polega na tym, że pewne zjawiska zanikają, inne rozwijają się, coś rośnie a coś umiera. Pisarz patrzący nie dialektycznie, ujmujący rzeczywistość nie w jej rozwoju ale statycznie, nie widzi tego ruchu, widzi tylko czego w danym momencie dużo, a czego mało. Nie zwraca uwagi, że pierwsze zmniejsza się, topnieje a drugie wzrasta i zwycięża.

Opowiadania Kuśmierka mimo, że są wstrząsającymi obrazami niesprawiedliwości, nie pozostawiają jednak po sobie osadu zwątpienia, rozpaczy i beznadziejności. Są bowiem pisane z wyraźnych pozycji klasowych, bo wiadomo z nich, kto ponosi winę i co trzeba zrobić, by takie krzywdy wymazać z rzeczywistości. Są to nie tylko opowiadania demaskujące, ale i mobilizujące do walki ze złem społecznym, z wrogiem klasowym, a nade wszystko do podnoszenia świadomości pracującego chłopstwa, aby tę walkę samo mogło podjąć i skutecznie przeprowadzić.

Jest jeden rodzaj pisania, gdzie się tylko oskarża, gdzie się tylko wskazuje na ofiary, jest to korespondencja terenowa typu interwencyjnego. Szkice Kuśmierka to typowe korespondencje interwencyjne rozwinięte literacko. Lecz korespondencje interwencyjne aczkolwiek demaskują wroga mają tę organiczną właściwość, że siłą rzeczy w zasadzie nie pokazują i pokazać nie mogą pozytywnego bohatera na wsi. Ale przecież samo ich istnienie wskazuje na istnienie takiego pozytywnego bohatera. Jest nim często właśnie autor korespondencji.

Pokazanie upadku i załamania bohatera jest łatwiejsze niż pokazanie jego rozwoju i zwycięstwa. Stworzenie pozytywnego bohatera jest rzeczą o wiele trudniejszą niż — negatywnego. Literatura radziecka w swych szczytowych osiągnięciach dowiodła jednak, że jest to możliwe.

Pokazać z równą pasją Adachową, która oparła się bogaczowi, bo takich Adachowych jest coraz więcej, pokazać Zawidowskiego, który nie czekając na dziennikarza sam zdobył się na napisanie korespondencji krytycznej do Gromady i zdusił klikę, to są najpilniejsze zadania na dzisiaj.

Edmund Niziurski

*) Fragment referatu wygłoszonego na posiedzeniu sekcji prozy ZLP.

HELENA ZAWORSKA

KSIĄŻKA JÓZEFA KUŚMIERKA

KSIĄŻKA Józefa Kuśmierka*) należąca niewątpliwie do jednej z najciekawszych pozycji wydawniczych ostatniego okresu, posiada cechy zapewniające jej to miejsce wśród książek, z których niejedną dotknęła choroba schematycznej „nijakości": jest oryginalna, wyrazista, niebanalna zarówno w swych zaletach, jak i błędach. Niezależnie od stwierdzenia, jakie są proporcje między osiągnięciami a brakami, uznać trzeba duży ciężar gatunkowy tej prozy, odważnej w stawianiu problematyki, rezygnującej z łatwych dróg schematycznych uproszczeń, zapowiadającej duże możliwości artystycznego rozwoju.

Książka zawiera trzy opowiadania. Dwa pierwsze („Bieda Adachowej" i „Sprawa jednego konia") to właściwie nie opowiadania — to reportaże. Tak określa je sam autor, świadomie organizując materiał obserwacyjny na prawach reportażu. Tym bowiem, co w dwóch pierwszych opowiadaniach Kuśmierka decyduje o ich oryginalności i wartości — to przede wszystkim ostre, odsłaniające klasowe i polityczne zaplecze opisywanych faktów postawienie problemu. Sprawa Adachowej, sprawa Korony i Zawidowskiego służą dokumentacji zagadnienia, którego wymiar jest szerszy niż doświadczenia osobiste tych ludzi, szerszy niż granice wsi czy powiatu. I tu, i tam klasowy ustrój wsi wydał na Adachową ten sam wyrok. Ustrój ten i w opoczyńskim i w milickim powiecie rodzi ciągle konflikty i sprawy — „Adachów". Nie chodzi tu o postać Adachowej, wysiłek autora nie idzie w kierunku wyróżnienia cech indywidualnych bohatera, proces typizacji jest odmienny niż w powieści. Nie istnieje, lub istnieje w zmniejszonym stopniu, ten etap, kiedy uogólnienie działa nie wprost, lecz poprzez obraz artystyczny, poprzez świadomą konstrukcję, świadome przekomponowanie materiału, jaki dostarcza rzeczywistość. Elementem organizującym całość doświadczeń i obserwacji autora jest problem walki klasowej na wsi. Bohater, ciąg wydarzeń, typ konfliktów spełniają tu rolę wtórną, są materiałem dowodowym ogólnego procesu. Dlatego też wszelkie ograniczenia w rysunku postaci bohaterów nie są błędem, nie oznaczają jeszcze niedowładu warsztatu pisarskiego — są świadomym wyborem gatunku. Uprawnienia reportażysty pozwalają na takie ukształtowanie materiału, które na plan pierwszy wysuwa nie osoby, lecz problemy. Tam, gdzie Kuśmierek z tych praw reportażysty świadomie rezygnuje (opowiadanie „Pożar"), schematyczność i niepełność rysunku psychologicznego bohatera staje się błędem, który uniemożliwia osiągnięcie pełnego sukcesu ideologicznego i artystycznego.

Sprawa Adachowej i sprawa Zawidowskiego są więc dość skomplikowanymi i niezwykłymi, lecz niemniej, w ogólnym układzie, powszechnymi przykładami działania wyzysku kapitalistycznego oraz form walki klasowej na wsi. Atrakcyjność obu tych „spraw", sięgająca niekiedy granic sensacyjności powieści kryminalnej, nie umniejsza w niczym ich typowości. Osiągnięciem Kuśmierka w obu tych reportażach jest umiejętność ukazania żelaznych praw ekonomicznych i społecznych, działających na terenie najbardziej osobistych, rodzinnych, prywatnych starć i powikłań. Walka klasowa decyduje tu nie tylko o takim lub innym podziale dochodów, o mniejszych lub większych trudnościach materialnych, o specyficznym wykorzystywaniu wpływów. Walka klasowa zmienia życie rodzinne, wpływa bezpośrednio na ukształtowanie się typu psychiki bohaterów, łączy i rozdziela bliskich sobie ludzi, więcej nawet: decyduje bezpośrednio o życiu człowieka. Siła oskarżenia, wymowa faktu śmierci małej córeczki Zawidowskich, która umiera wskutek braku pomocy, jakiej nie chcą udzielić klasowi wrogowie Zawidowskiego — są tak wielkie, iż mimo relacyjnej formy reportażowej, w jakiej są zamknięte, stanowią jeden z najbardziej wstrząsających przykładów niszczenia jednostek przez klasowy ustrój wsi.

Różnorodność przejawów kułackiego wyzysku i walki klasowej dowodzi niezwykle wyostrzonego zmysłu obserwacyjnego młodego pisarza. Autor, który z zacięciem i talentem detektywa wydobywa podszewkę polityczną i klasową spraw posiadających pozornie tylko wąski aspekt kryminalny, potrafi dostrzec konflikty tam, gdzie ich korzenie klasowe tkwią dosyć głęboko. Np. sprawa Adachowej „urzędowo była sprawą prostą". Wydobycie spośród papierów, załączników i sprzecznych informacji istotną treść tej sprawy nie należało do rzeczy najłatwiejszych. Wymagało nie tylko doświadczenia i wielkiej czujności politycznej pisarza. Wymagało przede wszystkim wnikliwego głęboko humanistycznego zainteresowania się człowiekiem. Pełen entuzjazmu, bliski, odkrywczy stosunek do człowieka, do trudnych spraw ludzkich, obok wyraźnego ujawniania sprzeczności klasowych, stanowi najmocniejszą, najbardziej wartościową stronę reportaży Kuśmierka. W ramach reportażu bohater staje się przede wszystkim uogólnionym przykładem postawionej przez autora problematyki. Aby reportaż nie stał się nudnym i suchym schematem, musi istnieć moment zbliżenia do człowieka w wymiarze szerszym niż może się to dokonać w ramach dokumentowania danej problematyki. Reportaże Kuśmierka mają ten szerszy wymiar posiadania. Jest nim odkrywczy stosunek do człowieka, zaangażowanie się autora w sprawy opisywanych ludzi. Kiedy Kuśmierek pisze: „Taka była sytuacja ekonomiczna rodziny Adachów jesienią 1947 r. Taka była buchalteria wyzysku we wsi Brzeziny" — to odkrywa w sposób bezpośredni, jak za sprawą biedy Adachowej kryje się sprawa ustroju, sprawa układu klasowego wsi. Ale ta sucha sprawozdawcza formułka nie byłaby zdolna nas przekonać, ani wzruszyć, gdyby nie posiadała pokrycia w emocjonalnym stosunku autora do tej sprawy, w jego zaangażowaniu się pisarskim, zaopatrzeniu swojego odautorskiego „ja" w entuzjazm człowieka, który dostrzega prawdziwe oblicze spraw ludzkich. Reportaże Kuśmierka nie spełniają tylko funkcji papierka lakmusowego, który na wybranych zagadnieniach wykrywa niezauważane sprzeczności. Reportaże jego pasjonują, więcej: wzruszają, ukazują twórcze możliwości człowieka, tłumaczą jego załamania czy wynaturzenia.

„Sprawa Adachowej była przez długi czas przedmiotem dyskusji na zebraniach partyjnych, tak w powiecie, jak i po gromadach. Dyskusje wykazały, że sprawa Adachów nie jest tylko sprawą Brzeziny. Każda wieś miała swoje odmiany Kalinów i Adachów, bo w każdej wsi toczy się przecież walka klasowa". Przejawy tej walki potrafi Kuśmierek uchwycić nawet w ich najbardziej zamaskowanej formie. Ale wielokrotnie przez autora podkreślane uogólnienie tych dość specyficznych wypadków na całość sytuacji nie zawsze nas przekonuje. Zarówno „Bieda Adachowej", jak i „Sprawa jednego konia" posiadają momenty, które mogą niepokoić ze względu na przesunięcie proporcji na jedną, i tylko jedną, stronę zagadnienia walki klasowej na wsi. W obu reportażowych opowiadaniach Kuśmierka dostrzec można pewne pęknięcie między stwierdzeniami iż „w każdej przecież wsi toczy się walka klasowa" a obrazem tej walki, któremu nie można wprawdzie zarzucić fałszywości, ale należy zarzucić niepełność. Walka klasowa w książce Kuśmierka sprowadza się właściwie tylko do obrazu wyzysku kułackiego. Kalina bez żadnych ograniczeń wyzyskuje Adachową, Koronowie niszczą Zawidowskiego. Ale strona wyzyskiwana pozostaje tylko stroną wyzyskiwaną, na akt zdecydowanej i długofalowej obrony nie zdobywa się. Nie istnieje nie tylko zorganizowana, ale nawet żywiołowa, solidarna walka biedoty wiejskiej przeciwko kułackiemu wyzyskowi. Obrachunki Adachowej z wyzyskującym ją Kaliną nie wchodziły w zakres zainteresowań gromady. To przecież jej sąsiedzi, mieszkańcy Brzeziny złożyli do starosta prośbę „...o zabranie Adachowej gospodarki, która w jej rękach marnieje". Gdyby nie przypadkowe zresztą — zainteresowanie reportażysty, sprawa Adachowej byłaby przesądzona w sposób jak najbardziej krzywdzący, a cały zgniły ustrój Brzeziny, którego ta sprawa była odpowiednikiem, trwałby jeszcze przez czas bliżej nieokreślony. Podobnie ma się sprawa z drugim opowiadaniem. Wykrycie spekulacyjnych nici w „sprawie jednego konia" w następstwie spowodowało zasadnicze zmiany w całej wsi, bezpośrednim jednak ich sprawcą był znów reporter. Wprawdzie w zakończeniu sekretarz partii stwierdza iż „likwidacja kliki Koronów nie jest przypadkiem" i że przechodzi się „z odwrotu przed wiejskim kapitalizmem do ataku na niego" — stwierdzenie to jednak nie zupełnie znajduje pokrycie w opisanych wypadkach. „Trzy wojskowe samochody i czerwone otoki Prokuratury Wojskowej świadczyły, że coś w tym mieście gruntownie się zmienia". Może inicjatywa i świadoma akcja partii przyszły później, w każdym bądź razie nie od nich w opowiadaniu Kuśmierka rozpoczęła się przemiana. Inicjatywa kontroli istniejącego stanu rzeczy, istniejącego układu stosunków przychodzi z zewnątrz. Autor nie ukazuje istniejących realnie sił społecznych wsi, które podejmowałyby walkę z wrogiem klasowym. Nikt w Brzezinach nie wnika głębiej w przyczyny biedy Adachowej. Nikt w Krzepicach nie ośmieliłby się wystąpić przeciwko wszechwładnemu kułakowi Koronie. Jawny, krzyczący wyzysk Zawidowskiego przez Koronów dla nich „był to wypadek — objaw normalnej ludzkiej chciwości. Nawet ci, którzy oburzali się, robili to jakoś prywatnie i na własny użytek. Wszystko, co robił Korona, przyjmowano jako zjawiska przyrody, których nie można uniknąć, ani przewidzieć. Wszystko w Krzepicach było na usługi Koronów. Słuchano ich. Jedni dlatego, że mogli przy tym zarobić, inni, bo nie chcieli stracić".

Proporcje między „starym a nowym" na wsi zostały u Kuśmierka zachwiane. Okrutne, drapieżne prawa starego ustroju zostały ukazane wnikliwie i ostro. Ale walka z tym ustrojem zatraca w książce cechy wielkiej, świadomie przez Partię kierowanej przebudowy społeczeństwa. Zagubiona została w opowiadaniach Kuśmierka dynamika dokonującej się na wsi rewolucji, opartej nie na mniej lub więcej przypadkowej ingerencji jednostek i czynników urzędowych, lecz na szerokiej bazie społecznej, na planowym i zorganizowanym działaniu Partii.

Omówione błędy książki różnią się gatunkowo od poszczególnych uproszczeń schematycznych, idących w kierunku „koloryzowania" rzeczywistości, niedoceniania siły wroga klasowego, łatwizny w rozwiązywaniu konfliktów. Książkę Kuśmierka oceniano już jako antyschematyczną, upatrując słusznie w tym przegięciu „negatywów" niebezpieczeństwo osłabienia realizmu jego reportaży. Błędy Kuśmierka nie wynikają chyba z przesadnego lęku przed ułatwieniami schematycznego optymizmu. Dotyczą one nie tyle fałszywego ukazania sytuacji na wsi tych lat, ile braku dostrzeżenia perspektywy rozwojowej na przyszłość. Opowiadania Kuśmierka obejmują lata 1947, 1948. W latach tych sytuacja klasowa na wsi była niezmiernie ciężka, ponury obraz kułackiego wyzysku przy względnej bierności reszty nieuświadomionego chłopstwa był faktem, którego nie ma potrzeby tuszować. Zwolennicy mikołajczykowskiej polityki przeprowadzali machinacje o szerszym nawet zakresie niż wrogi stosunek do spółdzielni marszowickiej, jak mamy to w ostatnim opowiadaniu Kuśmierka. Książka Kuśmierka mówi o tych najtrudniejszych latach, kiedy zorganizowany wyzysk kułacki nie napotykał, albo napotykał niezbyt często, na zorganizowaną walkę biedoty wiejskiej. Duże polityczne znaczenie książki polega na tym, że ukazuje ona najbardziej zamaskowane formy wyzysku, ujawnia ostre konsekwencje starego ustroju, odsłania jego niszczące oddziaływanie na życie osobiste człowieka.

Błąd Kuśmierka polega natomiast na tym, iż autor powinien dostrzec więcej, niż mógł ujrzeć w konkretnych, opisywanych wypadkach, niż mogła mu powiedzieć trudna sytuacja tamtych lat. Kuśmierek w opisie faktów nie zatraca proporcji, zatraca natomiast perspektywy rozwojowe. Zwycięstwo walki nad starym ustrojem polegało nie tylko na tego rodzaju akcjach, jakie widzimy w opowiadaniach Kuśmierka — tkwiło ono w bazie społecznej, ujawniało się w formach walki planowej i organizowaniu.

Tomik „Uwaga! Człowiek" ukazuje możliwości rozwoju artystycznego autora, przynosi próbę wyjścia poza formy reportażowe. „Pożar" jest opowiadaniem, które posiada piękne fragmenty dobrej prozy o szerokim rozmachu epickim. Kuśmierek nie ustrzegł się jednak od skrótów i uogólnień, które możliwe do przyjęcia jako konwencja reportażowa, w opowiadaniu, jako całość wychodzącym poza ramy reportażu — są błędami poważnymi (sprawa ideologicznego wzrastania i załamania Kocika potraktowane schematycznie, bez dokumentacji psychologicznej, bez artystycznego wkomponowania ich w całość utworu).

Książka Kuśmierka jest debiutem ambitnym i ciekawym. Nowe sprawy nowych ludzi na wsi dzisiejszej czekają na autora.

Helena Zaworska

*) **Józef Kuśmierek, „Uwaga! Człowiek", W-wa 1951 „Czytelnik".**

ANDRZEJ SMUGA

Z PIERWSZYCH DNI

NOWY polski film fabularny „Pierwsze dni"*), który ukazał się na naszych ekranach w dziesiątą rocznicę powstania Polskiej Partii Robotniczej, nawiązuje do chlubnych tradycji naszego ruchu robotniczego, ukazuje najtrudniejszy okres powstawania i formowania się nowego państwa, daje wymowny obraz bohaterstwa klasy robotniczej walczącej o wyzwolenie społeczne.

„Pierwsze dni" swoją celność tematyczną i ideologiczną zawdzięczają znanej, odznaczonej Nagrodą Państwową powieści Bogdana Hamery pt. „Na przykład Plewa", według której został opracowany scenariusz. Jasna, zdecydowana klasowo postawa autora powieści i scenariusza zadecydowała o tym, że po raz pierwszy w filmie polskim ujrzeliśmy klasę robotniczą i jej Partię jako aktywną, działającą siłę, a nie jako statystę czy tło do rozgrywających się wydarzeń. Jest to w naszym filmie zjawisko zupełnie nowe i niezmiernie cenne. Aby się o tym przekonać wystarczy przypomnieć sobie „Stalowe serca", film rzekomo robotniczy", w którym środowisko robotnicze zeszło do roli „atrakcyjnego" drugiego planu i pretekstu dla rozegrania pseudopsychologicznego dramatu inteligenta i zakochanej w nim dziewczyny. Tu natomiast robotnicy są głównymi nosicielami nowych, socjalistycznych konfliktów.

Akcja filmu rozpoczyna się w momencie, gdy zwycięska ofensywa Armi Czerwonej przynosi Polsce wyzwolenie. W tych trudnych dniach przełomu decydującą rolę odegrała działalność kierowanego przez PPR lewicowego ruchu oporu. Oto widzimy jak na terenie jednej z hut grupa AL walczy z hitlerowcami, aby uchronić fabrykę przed zniszczeniem. Młodzi partyzanci, robotnicy Nieglicki i Marciniak już w tym czasie widzą perspektywę dalszego rozwoju, walczą o fabrykę, która w przyszłości stanie się własnością samych robotników. Nie wszyscy jednak rozumieją zadania chwili — oto stróż nocny, Błażej Plewa, który w tym gorącym okresie nie opuścił swego posterunku, pilnuje fabryki, ale robi to nie bardzo świadomie. Kieruje się żywiołowym, ale nie pogłębionym ideowo przywiązaniem do warsztatu pracy, spełnia instynktownie odczuty obowiązek, nie widzi jednak nowych perspektyw otwierających się przed jego klasą. Tak więc już w tym pierwszych scenach zarysowują się dwa nurty środowiska robotniczego. Marciniak i późniejszy sekretarz PPR, Nieglicki, to przodujący aktyw ruchu robotniczego i Plewa, przedstawiciel średnich mas proletariatu, których dla sprawy rewolucji trzeba było dopiero pozyskać.

Walka o Plewę rozpoczyna się w okresie, gdy w pierwszych dniach po wyzwoleniu przed klasą robotniczą i całym narodem staje nowe, odpowiedzialne zadanie odbudowy życia gospodarczego i zbudowania nowego, sprawiedliwego ustroju. Ogłoszony w tym czasie Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego wytycza wielki program rewolucyjnego przełomu. Plewa czyta Manifest, nie potrafi jednak jeszcze zrozumieć jego istotnego sensu. Przeszkadza mu w tym stary sposób myślenia, stare nawyki, widzenie rzeczywistości ograniczone własnymi, małymi sprawami. I Plewa bezwiednie ulega wpływom wrogów nowego ustroju, dywersantów i sabotażystów, którzy starają się za wszelką cenę siać ferment i niewiarę we własne siły. Ulegając namowom szwagra Damalta, skuszony perspektywą łatwego zarobku, o mało nie zostaje złodziejem. W decydującym momencie zdrowy, klasowy instynkt zwycięża, jednak — Plewa zwraca fabryce ukryte w czasie okupacji motory.

Tak rozpoczyna się droga rozwoju Błażeja Plewy. Coraz silniej ogarnia go entuzjazm pracy i odbudowy. Jego przeżycia i konflikty osobiste zosta-

ją niejako wtopione w historię walki robotników o odbudowę i uruchomienie huty. Plewa uczy się nowego życia, wyciągnięty z budki nocnego stróża, do której fabrykant zepchnął przed wojną dobrego fachowca. Postawiony na odpowiedzialnym stanowisku majstra jednego ze sprawiających najwięcej kłopotów działów fabryki, uczy się roli jej gospodarza, uczy się nowego stylu pracy i współżycia z kolektywem robotniczym.

Nie od razu jednak Plewa potrafi wywiązać się ze swoich zadań, nie od razu staje się w pełni świadomym budowniczym nowego życia. Jego szkołą jest walka o produkcję, w której nie ma miejsca na przedwojenne, kapitalistyczne pojęcia o roli majstra, w której decydującą rolę odgrywa kolektyw. Jego szkołą staje się walka z wrogiem, który zakrada się na fabrykę i dokonuje sabotażu, niszcząc jeden z motorów. Wśród ostrych klasowych konfliktów, których jaskrawym wykładnikiem oprócz wspomnianego sabotażu jest zabójstwo porucznika Marciniaka i próba zorganizowania strajku, rośnie i dojrzewa Plewa, zaczyna rozumieć, że walka, którą prowadzi Nieglicki i towarzysze, jest również i jego walką, że i on musi wziąć w niej udział. Gdy w końcowej partii filmu na skutek machinacji dywersantów zabrakło chleba, a transport z mąką zostaje zatrzymany przez bandę, widzimy już Plewę jako świadomego proletariusza, wiernego towarzysza walki Nieglickiego i tylu innych bezimiennych bohaterów polskiej rewolucji.

Droga rozwojowa Plewy dobrze ukazuje typowy proces narastania świadomości w klasie robotniczej, dobrze odzwierciedla konflikty i zmagania charakterystyczne dla okresu formowania się nowego państwa. Plewa jest pierwszą w naszym filmie postacią pozytywnego bohatera-robotnika.

Obok Plewy, głównym bohaterem jest niewątpliwie Partia. Za pośrednictwem swoich przedstawicieli (Nieglicki i dyrektor huty, były robotnik Wójcicki) oddziaływa ona na życie robotników, organizuje i kieruje odbudową huty, konsekwentnie i wytrwale dąży do pełnej realizacji postanowień Manifestu PKWN-u. Partia w tym filmie jest ukazana jako gospodarz fabryki, jako przywódca robotników i ich nauczyciel. Szkoda, że prawie zupełnie pominięto jej wielką rolę wychowawczą w życiu codziennym. Plewa spotyka się kilkakrotnie z Nieglickim i Wójcickim, dostaje od nich rady i wskazówki, ale w fabryce, w kuźni, na co dzień jest pozostawiony samemu sobie. Co więcej, nie wiemy nawet, czy ktoś spośród olbrzymiej załogi należy do partii. Wśród bogatej galerii robotników nieuświadomionych, wahających się lub wręcz wrogo nastawionych do nowego ustroju na próżno szukamy równie przekonywających sylwetek szeregowych towarzyszy partyjnych. A przecież Partia w swej działalności opiera się nie tylko na jej kierownikach, ale przede wszystkim na świadomych, bojowych kolektywnych szeregowych towarzyszy. Ten błąd scenariusza w ogólnym bilansie nie wypaczył jednak zasadniczej, przewodniej myśli o kierowniczej, decydującej roli klasy robotniczej i jej Partii.

„Pierwsze dni" to film o wybitnych walorach ideologicznych, to pierwszy u nas film o tematyce zdecydowanie rewolucyjnej, partyjnej. Od takiego filmy powinniśmy również wymagać jak największych walorów artystycznych. Niestety, realizatorzy nie zawsze potrafili wywiązać się zadawalająco z swego trudnego zadania. Aby należycie ocenić przyczynę tego niepowodzenia warto przypomnieć wypowiedź Sekretarza KC PZPR tow. E. Ochaba, który na warszawskiej naradzie filmowców analizując braki naszej kinematografii, powiedział między innymi: „Do poważnych niedociągnięć pracy naszych filmowców należy zaliczyć brak należytej troski o wypracowanie i doszlifowanie każdego szczegółu tła i akcji".

Wydaje się, że to twierdzenie dobrze charakteryzuje usterki „Pierwszych dni". Rozpatrzmy to zagadnienie na konkretnych przykładach. Cała wstępna partia filmu ukazująca cofanie się okupanta, walkę naszej partyzantki i wkroczenie Armii Czerwonej nie wywołują, mimo swej głęboko emocjonalnej treści entuzjazmu sali. Ciemne zdjęcia, epizody pozbawione należytej wymowy dezorientują widza, nie przemawiają do niego wielkim i niefałszowanym patosem świtu naszej wolności. Dopiero w dalszych partiach filmu, gdzieś aż koło sprawy chleba i walki z bandą, temperatura sali się podnosi. Początek filmu nadaje reakcjom naszego narodu charakter niepewności i zaskoczenia i taki też oddźwięk wywołuje na sali.

Jednym z ważnych ogniw akcji filmu jest zabójstwo porucznika Marciniaka. Scena ta pokazana naturalistycznie nie ma ani dostatecznego przygotowania, ani rozwiązania. Co gorsza na skutek ciemnej fotografii i małej głębi ostrości, trudno jest zidentyfikować postać porucznika i w pierwszej chwili nie bardzo orientujemy się, o co chodzi. Najbardziej zasadniczym błędem jest jednak w tym wypadku brak pokazania reakcji załogi huty i samego miasteczka. W konsekwencji fakt ohydnego mordu przemija bez echa zarówno na ekranie, jak i na widowni.

Generalnym tłem dla całości akcji filmu jest zasadniczo huta, ale o jej wyglądzie, niestety, nie wiele możemy powiedzieć. O sprawach huty i jej odbudowie dowiadujemy się raczej z dialogu niż z obrazu. A przecież rozwój huty w filmie jest tak samo ważny jak rozwój Plewy, tak samo drogi nam i bliski. Na dobrą sprawę znamy ją jedynie od strony kuźni mechanicznej, a przecież chcielibyśmy zobaczyć ją bezpośrednio po wyzwoleniu, gdy była zdewastowana, chcielibyśmy widzieć, jak dźwigała się z ruin, rosła

i potężniała. Ułamkowe, potraktowane wyłącznie dekoracyjnie fragmenty krajobrazu, huty i miasta, nie mają związku ze sprawami bohaterów, nie stają się ich przeżyciem, nie wywołują w nich żadnych reakcji. Szczególnie dotkliwy jest brak obrazu miasteczka, które przecież z hutą było jak najściślej związane, żyło jej życiem i jej sprawami. Jedynie w takim kontekście kończący film, pierwszy spust stali, mógłby w pełni emocjonalnie oddziałać na widza.

Wydaje się również, że wymowa końcowej sceny została znacznie osłabiona, na skutek całkowitego przemilczenia faktu, że mimo rozbicia bandy i triumfalnego uruchomienia wielkiego pieca, walka z wrogiem nie została zakończona. Czy pamiętacie końcową scenę filmu „Wielki Obywatel", gdy przed trumną zabitego trybuna ludu Szachowa, przesuwa się długi korowód robotników składających hołd jego pamięci — wśród nich widzimy również jednego z morderców. To założenie filmu, głosząc niezwyciężoną siłę klasy robotniczej, uczy jednocześnie czujności, pobudza wolę walki i zwycięstwa. Niejeden morderca z naszych pierwszych dni jest jeszcze między nami, niejeden jeszcze raz da nam o sobie znać i musimy być na to przygotowani, musimy być czujni. Tej oto zasadniczej, konsekwentnie wynikającej z tematu myśli, zabrakło w zakończeniu filmu.

Warto także kilka słów powiedzieć o pracy operatora, który w może większym jeszcze stopniu niż reżyser zapomniał o konieczności „wypracowania i doszlifowania każdego szczegółu tła i akcji". W filmie tym odczuwamy wyraźnie brak jakiejś określonej koncepcji plastycznej, brak jednolitości stylu. Operator posługując się metodą reportażowo-kronikalną dał zdjęcia nierówne, często niedoskonałe technicznie i nie zawsze odpowiadające treści epizodów (np. tonalność w scenie bitwy z bandą, albo zupełnie przyćmione zdjęcia w scenie miłosnej).

Dużym osiągnięciem realizatorów jest natomiast bardzo dobry dobór aktorów zarówno w czołowych (z wyjątkiem Nieglickiego), jak i w epizodycznych rolach. O trafności doboru najlepiej świadczy fakt, że chwilami nie jesteśmy w stanie powiedzieć, które role odtwarzają aktorzy, a które robotnicy huty w Ostrowcu występujący w filmie. Na specjalne wyróżnienie zasłużył Jan Ciecierski, który jako Plewa stworzył kreację niezapomnianą.

Jak wynika z powyższego omówienia „Pierwsze dni" mimo wielu błędów i niedociągnięć są pozycją bardzo cenną o wybitnych walorach ideowo-wychowawczych. Ten pierwszy u nas film o robotnikach i Partii wnosi do naszej kinematografii powiew świeżości, rozbija niesłuszne uprzedzenia do rzekomo „niefotogenicznej" tematyki produkcyjnej, wskazuje naszym twórcom słuszny kierunek uderzenia, którego celem winno być artystyczne przetworzenie i ukazanie na ekranach wielkich dni naszej współczesności. Jedynie na tej drodze film nasz może w pełni wykonać stojące przed nim zadanie aktywnego udziału w wielkim dziele rewolucji kulturalnej.

Andrzej Smuga

*) „Pierwsze dni". Scenariusz: Bogdan Hamera wg. powieści „Na przykład Plewa". Reżyseria: Jan Rybkowski. Operator: Władysław Forbert: Muzyka: Kazimierz Sikorski. Produkcja: Wytwórnia Filmów Fabularnych w Łodzi 1951 r.

JAN SZCZEPAŃSKI

Literatura dokumentalna o spółdzielniach produkcyjnych

W LATACH 1950-51 pojawiło się w druku około 50 broszur i książek zawierających opisy, bądź to radzieckich kołchozów i sowchozów, przełożone z języka rosyjskiego, bądź też opisy polskich spółdzielń produkcyjnych. Jest to już więc dość poważny zbiór literatury dokumentalnej, zasługującej na specjalne omówienie. Literatura ta dotyczy rewolucji w życiu wsi i warstwy chłopskiej, od wieków uważanej za najmniej zmienną i najbardziej konserwatywną.

Opisy sowchozów i kołchozów radzieckich przełożone z języka rosyjskiego posiadają nieco inny charakter niż opisy i reportaże polskie. Kołchozy bowiem i sowchozy radzieckie mają już za sobą historię wielu lat pracy i rozwoju i dlatego opisy ich rozporządzają bogatym materiałem wyników, osiągnięć, dorobku i sukcesów. Badaniom kołchozów w Związku Radzieckim poświęcono wiele uwagi, wypracowano już metody opisów i badań naukowych, zwłaszcza jeżeli chodzi o ekonomię, nauki rolnicze, statystykę itp. Również i publicystyka radziecka ma za sobą bogate doświadczenia i wypracowane metody opisu życia wsi radzieckiej i zachodzących w nim przemian.

W latach 1950-51, wydano w Polsce ponad 20 opisów kołchozów i sowchozów. Możemy w nich wyróżnić następujące kategorie:

1) **Opisy etnograficzne,** nastawione przede wszystkim na uchwycenie rodzących się nowych form socjalistycznej kultury na wsi, traktujące jednak te zagadnienia w związku z całością procesu rozwojowego życia społeczeństwa socjalistycznego. Z takich opisów etnograficznych przetłumaczono i wydano jako osobne broszury dwie prace, a mianowicie **L. N. Terentiewa: Na drodze do dostatniego i kulturalnego życia.** Tłum. J. Buras Książka i Wiedza, 1951, str. 30, oraz **Z. Nikolska: O dargińskim kołchozie „Czerwony Partyzant"** (opis etnograficzny). Tłum. K Bleszyński. Książka i Wiedza, 1951, str. 27.

2) **Monografie ekonomiczno-rolnicze** (popularne), dające przede wszystkim opis gospodarki kołchozów i sowchozów, jej cech charakterystycznych, rozwoju i wyników. Są to przede wszystkim opisy rozwoju gospodarki, metod pracy, osiąganych wyników produkcyjnych. Opisy te mają na celu przekazanie doświadczeń i dlatego kładą nacisk na przedstawienie dróg zwiększenia produkcji, organizację pracy i wyniki. Inne dziedziny życia kołchozu, a przede wszystkim życie kulturalne traktowane są w tych opisach pobieżnie i marginesowo. Do tego rodzaju opisów moglibyśmy zaliczyć takie opisy jak: **F. Bojko: Sowchoz Gigant.** Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne, 1950, str. 170, oraz **A. Fiedotow: Sowchoz „Piętnastolecie Października".** Państw. Wyd. Roln. i Leśne. 1951, str. 187.

3) **Literackie opisy życia kołchozowego,** przedstawiające raczej reportażowo istotne cechy, zjawiska i przebieg życia społecznego w kołchozach. Bez tabel statystycznych opis literacki wydobywa tu charakterystyczne momenty życia zbiorowego kołchozu, jego pracę, walki, rozwój i sukcesy we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego i kulturalnego. Przykładem **A. Jefagina: Kołchoz Czerwony Październik,** Książka i Wiedza. 1950, str. 192. Przeł. Marek Korzeń.

4) **Opisy jubileuszowe,** pisane z okazji rocznicy założenia kołchozu, mogącego się poszczycić specjalnymi osiągnięciami. W opisach tych, albo zwraca się uwagę na przedstawienie rozwoju gospodarczego, lub też literacko przedstawia wzrost stopy życiowej i podnoszenie poziomu kulturalnego. Przykładem takiego opisu jest praca **J. Cikoto: Jak zmieniło się w ciągu 30 lat życie wsi Awdotino.** Tłum. M. Kowalewska. „Współpraca" 1949, str. 63.

5) **Opisy poświęcone wybranym zagadnieniom** życia kołchozów lub sowchozów. Jako przykład takich prac wymienię: **W. Owczynnikowa: Kołchozowa dniówka obrachunkowa na przestrzeni 20 lat.** Książka i Wiedza. 1951. Tłum. S. Lewin, str. 31. Tu można również wymienić **Randsepp Jaan: Walka o Kołchoz,** Książka i Wiedza 1950, lub **Rekordy sowchozu Karajewo,** Państw. Wyd. Roln. i Leśne. 1951.

6) Wreszcie jako ostatnią kategorię wymienimy **wspomnienia osobiste** wybitnych działaczy ruchu kołchozowego, organizatorów lub przodowników pracy. Tu zaliczymy takie prace jak: **Teodor Dubkowiecki: Nowe życie wsi.** Notatki inicjatora ruchu kołchozowego na Ukrainie. Książka i Wiedza 1950, gdzie autor daje opis swoich praw i walk w ruchu kołchozowym w latach 1922—1949, oraz **Pasza Angelina: Kobiety traktorzystki na polach kołchozu** (Pasza Angelina o sobie i o swej pracy), Książka i Wiedza 1950.

Rzecz jasna klasyfikacja ta nie wyczerpuje wszystkich rodzajów literatury radzieckiej poświęconej badaniu i opisywaniu kołchozów, z której na język polski przetłumaczono tylko niewielką część. Np. w „Radzieckiej Etnografii" możemy spotkać prace poświęcone poszczególnym wycinkom życia kołchozowego, np. artykuły o warunkach mieszkalnych w kołchozach wśród narodowości azjatyckiej, lub o muzeach kołchozowych. W każdym razie widzimy z niej, że obok literatury i badań naukowych rozwijają się różne rodzaje opisów stanowiące źródło informacji, materiał dla uogólnień, zbiory dokumentów i obrazy z historii rozwoju nowego ustroju życia wiejskiego.

✻

Podobny charakter mają polskie opisy powstających u nas spółdzielń produkcyjnych. Opisy te przekonywają, zwalczają uprzedzenia, przeciwdziałają plotkom i propagandzie wrogów spółdzielczości. W tej akcji uświadamiającej szczególną rolę grają opisy i wrażenia z wycieczek chłopów polskich do Związku Radzieckiego, zwiedzających tam kołchozy i sowchozy. Do tych opisów należą prace: **Roman Juryś: Z wędrówek po kołchozach Ukrainy radzieckiej,** Książka i Wiedza 1949; zbiór opisów wydany pod wspólną nazwą **Jak żyją i pracują w kołchozach Radzieckiej Ukrainy,** Książka i Wiedza, 1950; **S. Piotrowski: Na Ukrainie szumi pszenica** (Wrażenia uczestnika wycieczki do Kołchozów Ukrainy), Książka i Wiedza 1950; **R. Wójcik, E. Zyguło: Widzieliśmy na własne oczy** (Kołchozy i sowchozy Ukrainy Radzieckiej) Współpraca, 1950; **Co widzieliśmy na Ukrainie Radzieckiej,** Wrażenia chłopów uczestników wycieczek na Ukrainę Radziecką. Ludowa Spółdz. Wyd. 1950; **Józef Machejek: Zwycięska wieś radziecka** Wrażenia z wycieczki po kołchozach Ukrainy Radzieckiej. Książka i Wiedza 1951.

Wśród opisów spółdzielń produkcyjnych zaczyna sobie torować drogę monografia ekonomiczno-rolnicza. Przykładem takiej próby jest praca: **W. Jeziorski, I. Kowalska, E. Podgórny — Spółdzielnia produkcyjna Biała Nyska.** Jest to opis rozwoju spółdzielni założonej w r. 1949, który szczególną uwagę zwraca na dokładne przedstawienie gospodarki spółdzielni, szczegółowo analizuje jej prace rolne, hodowlane, organizację pracy, wydajność pracy, podział dochodów, towarowość spółdzielni itp. Wśród tabel i cyfr widzimy ludzi, ich wysiłki i pracę, ich upór i walkę, jednakże cała uwaga autorów skupia się na sprawach ekonomicznych. Ten typ opisu mimo tej pewnej jednostronności jest bardzo ważny, gdyż daje materiał konkretny ekonomiście i politykowi. Pominięto jednak w opisie sprawy ważne: jaka była struktura społeczna wsi przed założeniem spółdzielni, jaka jest rola kobiet, jak wygląda życie rodzinne, sprawy kulturalne itp.

Wśród dzieł literackich jakie się dotychczas ukazały przeważają zdecydowanie reportaże, pisane z zewnątrz. Praca **Kościniczyka Antoniego: Jak mi się żyje w spółdzielni produkcyjnej,** Książka i Wiedza, 1950 — napisana przez spółdzielcę, jest rodzajem rzadko spotykanym.

Książka **W. Woroszylskiego i W. Zalewskiego: Rok walki i zwycięstw,** Opowieść o spółdzielni produkcyjnej „Iskra" w Milejowie. Książka i Wiedza 1951, jest opowieścią, która kilku rysami szkicuje położenie wsi przed wojną i w czasach okupacji „w cieniu hrabiowskiego pałacu", następnie lata po parcelacji „na własnej biedzie", pierwsze pomysły i pierwsze kroki do zorganizowania spółdzielni, trud przekonywania i skupiania. Wreszcie pierwsza wiosna wspólnej pracy, walki z kłamstwami i oszczerstwami, wyjazd przewodniczącego do Związku Radzieckiego, prace w ciągu pierwszego lata, odpieranie ataków wroga, zbiory, obliczenia dniówek, promieniowanie spółdzielni, wstępowanie nowych członków. Mamy tu w przekroju rocznych prac, najważniejsze momenty życia spółdzielni pokazane w migawkowych zdjęciach faktów, rozmów, zdarzeń.

Kazimierz Koźniewski w reportażu ze Spółdzielni produkcyjnej w Bynowie pt. **Co z tego mają** stawia sobie zadanie przeciwstawienie fali kłamstw i propagandy, faktów mówiących o tym, jak zmienił się dochód i poziom życia spółdzielców w biednej wsi po rozpoczęciu wspólnej gospodarki. Spółdzielnia nazwana początkowo pogardliwie „komuną nędzarzy" w ciągu twardej nieustępliwej walki ogarnęła całą wieś, wydaliła członków szkodzących jej rozwojowi i osiągnęła poważne sukcesy na drodze do dobrobytu. Autor przedstawia istotne momenty rozwoju spółdzielni, wskazuje na rolę kadr, pomoc partii i rządu, walkę z wrogą propagandą, lecz przede wszystkim wydobywa **nowe,** powstawanie nowego życia, nowej organizacji pracy, planowania, dorobku służącego wszystkim. Cyfry zjawiają się w opisie jako argumenty, jako dowody polepszenia bytu spółdzielców.

Podobną literacką opowieść o trudnych początkach, walce, pracy i pierwszych sukcesach, opowieścią obszerniejszą niż powyżej omawiane reportaże, jest praca **Teresy Chabowskiej Spółdzielnia produkcyjna „Grochów".** Książka i Wiedza, 1951. Jest to opowiadanie o ludziach spółdzielni, pracach, nadziejach i osiągnięciach zespołu ludzi, który podjął walkę i zwycięsko ją przeprowadził. Widzimy tu biedniaków i ich ciężkie życie na działkach, powstanie pierwszych projektów, pomoc ekip kolejarskich, moment założenia spółdzielni, wdrażanie członków do nowej organizacji pracy, walkę ze starymi przyzwyczajeniami, rozbudowę gospodarki spółdzielczej itd. Fakty i etapy rozwoju pokazano w skrótach literackich, dialogach, porównaniach. Liczby i materiały wpleciono w akcję opowiadania. Czytelnik widzi obraz spółdzielni poprzez akcję, poprzez portrety psychologiczne ludzi i poprzez ich działanie.

Tego rodzaju reportaże i opowiadania odgrywają ogromną rolę agitacyjną w walce o spółdzielczość produkcyjną i trzeba żeby ich zjawiało się możliwie dużo. Lecz obok nich potrzebne są również inne opisy, prowadzone systematycznie, dające pogląd na całość spraw ekonomicznych, rolniczych, społecznych i kulturalnych tworzących się i rozwijających spółdzielń. Opis spółdzielni Biała Nyska, poprawnie rozwiązał sprawę jeżeli chodzi o zagadnienia gospodarki spółdzielni.

Dlatego dla gromadzenia systematycznego materiału dokumentarnego, dla systematycznego badania rozwoju spółdzielń, potrzebny jest jakiś program, dający wskazówki jak taki opis poprowadzić. Literatura reportażowa nastawiona jest na czytelnika masowego. Funkcja jej polega na informowaniu i przekonywaniu. Lecz potrzebne są również opisy o charakterze naukowym, dając materiał do stwierdzenia rzeczywistego stanu rzeczy, stwierdzenia prawidłowości, podstawę do uogólnień.

✻

Poniżej przedstawię w skrócie taki „program zbierania materiałów dla zbadania współczesnego życia wsi kołchozowej i historii jego kształtowania wśród narodowości średniego Powołża" zamieszczony w 4 n-rze „Radzieckiej Etnografii" z r. 1951, napisany przez N. I. Worobiewa. Program ten jest dostosowany rzecz jasna do badania kołchozów istniejących już od dziesiątek lat i dlatego nie może być ślepo stosowany w badaniach polskich spółdzielń produkcyjnych. Jednakże daje on wskazówki jak sporządzić systematyczny opis kołchozu i dlatego łatwo można z niego wydobyć to co jest użyteczne dla badania naszych spółdzielń.

Worobiew dzieli całość opisu kołchozu na pięć części zasadniczych: I. Zajęcia ludności, technika i ekonomika. II. Zewnętrzne ukształtowanie życia codziennego. III. Stosunki społeczne, rodzinne i stosunki pokrewieństwa. IV. Obyczaje ludowe. V. Kultura, oświata i twórczość ludowa.

Przejrzyjmy te działy po kolei. Dział pierwszy rozpoczyna się od ogólnych informacji o tym gdzie kołchoz jest położony, o ilości ludności, jej narodowości; dalej dane o historii organizowania kołchozu i zmianach jakim podlegała jego organizacja. Wszystko to przedstawione na tle przeszłości i historii dawnej wsi przedkołchozowej. Potem przechodzi do informacji o posiadłościach ziemskich kołchozu, ich rozmiarach, jakości i rozłożeniu w terenie, z porównaniem jak te sprawy wyglądały w przeszłości. Program niezwykle szczegółowo opracowany wskazuje jakie informacje trzeba zebrać o uprawie pól i organizacji pracy w polu, ogrodnictwie, sadownictwie, hodowli zwierząt, polowaniu i rybołówstwie, użytkowaniu lasów. Po omówieniu upraw i wszystkich działów gospodarstwa wiejskiego, opis zwraca uwagę na kadry kołchozu: ilość członków, ilość mężczyzn, kobiet i dzieci, wykorzystanie pracy kobiet i młodocianych oraz opieka nad nimi, charakterystyka kadr kierowniczych, przodownicy, walka o dyscyplinę pracy, rola partii. Dalsza sprawa to zaopatrzenie kołchozu w inwentarz, budynki, warsztaty pomocnicze, energię. Następny punkt opisu to ekonomika kołchozu: urodzajność, dochód, wypełnienie obowiązków wobec państwa, wydatki, ilość dniówek, udział poszczególnych członków w dochodzie, dochód z działki przyzagrodowej, porównanie z dochodem w przeszłości; dalej organizacja prac zbiorowych w kołchozie; środki komunikacji i wreszcie jako ostatni punkt działu pierwszego, prace i przemysł domowy: obróbka lnu, tkactwo, wyroby wełniane, obróbka skóry, drzewa itp.

Dział drugi rozpoczyna się od charakterystyki wsi, podziału na przysiołki, rozmieszczenia w terenie itp. Czy są ogrody, parki, czy jest oświetlenie elektryczne, bruki, trotuary, domy społeczne. Dalej domy mieszkalne, ich budowa, wyposażenie teraz i w przeszłości. Nowe i stare domy kołchoźników. Następnie program zwraca na odzież, obuwie i ozdoby. Punkt dalszy — żywność: rodzaje, jakość, sposoby przyrządzania, przechowywania, pory spożywania, obyczaje — stan obecny rzutowany na stan w przeszłości.

Dział trzeci — stosunki społeczne i rodzinno-krewniacze dzieli się na takie poddziały: stosunki społeczne we wsi współczesnej: stosunki między członkami, stosunek do pracy, rola brygad w kołchozie, rola organizacyj partyjnych i społecznych. Udział

(Dokończenie na str. 8)

FRANCISZEK GRABOWSKI

CHŁOPI RZESZOWSCY OMAWIAJĄ PROJEKT KONSTYTUCJI

Wczoraj

W woj. rzeszowskim pracowało w przemyśle 25 tys. robotników, a więc zaledwie 0,8 proc. ludności tego województwa podczas, gdy samych tylko „zbędnych rąk" do pracy w rolnictwie, nie licząc bezrobotnych w miastach, było ponad 500 tys. osób. Gospodarstwa do 2 ha stanowiły 46 proc., a gospodarstwa od 2 do 5 ha — 42 proc ogólnej liczby gospodarstw, przeciętne zaś w nich plony wynosiły pszenicy 10 q, jęczmienia 9 q, owsa — 16 q, ziemniaków — 100 q z ha

Trzy czwarte z ogólnej liczby gospodarstw chłopskich już od wiosny kupowało zboże, bo własnego zboża nie starczało, ani na zasiew, ani na wyżywienie rodziny...

W latach międzywojennych budowano w woj. rzeszowskim przeciętnie rocznie 600 izb mieszkalnych w miastach, 30 klm. dróg o twardej nawierzchni...

Zaledwie 27 proc. dzieci rozpoczynających naukę w 250 szkołach siedmioklasowych kończyło pełną szkołę powszechną, co czwarty mieszkaniec wsi, a co dziesiąty mieszkaniec miast woj. rzeszowskiego był analfabetą, w 41 szkołach zawodowych uczyło się zaledwie 7 tysięcy uczniów...

W poszukiwaniu pracy i chleba setki tysięcy chłopów rzeszowskich opuszczało kraj — udając się na tułaczkę zagranicę i do krajów zamorskich...

Ale w kraju narastała pod kierownictwem klasy robotniczej i jej rewolucyjnej partii nieugięta walka o wyzwolenie społeczne i narodowe. — Strajki i bunty chłopskie w powiatach ropczyckim, jarosławskim, łańcuckim, przeworskim, leskim, tarnowskim, sanockim, rzeszowskim — zapisały się niezatartymi zgłoskami w dziejach tej walki o ziemię, władzę i wiedzę dla ludu.

„Ja pojechałem do Francji 28 lutego 1924 r., po wyjściu z wojska, jako młody chłopak nie miałem co robić, bo było nas 8 osób, a ziemi mieliśmy tylko 2 ha. Tam we Francji musiałem za parę marnych franków ciężko pracować na francuskich kapitalistów, którzy człowieka wyzyskiwali. Nie tylko, że wyzyskiwali, ale człowiekowi na każdym kroku ubliżali, bo początkowo nie umiałem władać francuskim językiem. Tak pracowałem do 1939 roku i przyjechałem z niczym".

ANTONI PAROBEK
gr. Czarna, gm Krylówka pow. Łańcut

*

„Miałem zaledwie 12 lat, gdy mi umarł ojciec. Nie mając środków utrzymania musiałem iść do obszarnika do pracy za marne wynagrodzenie. Tak, że nie miałem czasu na naukę i zaledwie skończyłem 4 klasy szkoły powszechnej. Później gdy trochę podrosłem, ruszyłem w świat i poniewierałem się po służbach u kułaków, dla nich pracując. Gdy już wyrosłem na dorosłego mężczyznę, nie mogąc znieść ucisku przez mych wyzyskiwaczy, pojechałem do Krakowa, myśląc, że może w tak wielkim mieście znajdę pracę i poprawię sobie byt. Jednak po kilku dniach wałęsania się, musiałem iść dalej na służbę do kułaka w Rudawie za Krakowem, który posiadał 35 ha ziemi. U niego musiałem pracować od 3 rano do 23-ej o barszczu i ziemniakach, którymi mnie żywiono trzy razy dziennie. Nie mogąc dłużej tam wytrzymać, uciekłem bez żadnego wynagrodzenia. 27 km szedłem pieszo i znalazłem się znowu w Krakowie. W Krakowie znalazłem na moje szczęście pracę i trochę mi się byt zaczął poprawiać. Ale nie długo było mojej uciechy, bo po dwóch latach byłem znowu bezrobotny i znowu nie było czym się żywić a nowej roboty nijak nie mogłem znaleźć. Tak żyłem w nędzy, aż do wybuchu drugiej wojny światowej".

WŁADYSŁAW DUSZKIEWICZ
gr. Chrząstów, gm. Gawłuszowice, pow. Mielec

*

„Gdy ukończyłem szkołę 4 klasową w roku 1931, dalej kształcić się nie mogłem, bo w mojej gromadzie wyższych klas nie było, w dodatku i ojciec nie miał środków dla mojego dalszego kształcenia, mimo, że miał nas tylko troje dzieci. Ale posiadał tylko 3 ha ziemi, 1 konia, 1 krowę z cielęciem i 1 świnkę. Zbiory miał zawsze bardzo słabe dlatego, że obornika wiele nie było, nawozów sztucznych nie kupował, bo nie miał za co kupić, a grunt trzeba było nawozić, bo jest zaliczony do 5 i 6 klasy. Gdy podrosłem chcąc się jako tako ubrać, byłem zmuszony iść do dworu i pracować za 85 groszy (dniówka). Tak było do 1938 roku. W tym roku chciałem dostać się na budowę fabryki w Sanoku. Trzy dni stałem pod bramą, aż mnie przyjęto i to za protekcją. Nie długo jednak cieszyłem się tą pracą, bo wybuchła wojna".

JAN SZOREK
gr. Pobiedno, pow. Sanok

*

„Wolność, o której była mowa w Konstytucji sanacyjnej oznaczała dla kapitalistów wolność wyzysku, a dla biedoty była jedynie wolnością wyrażającą się w łazęgowstwie i kradzieży, żebractwie i kryminale, była wolnością bicia chłopów gumowymi pałkami przez granatową policję".

CZESŁAW GIBEK
gr. Ostrów, pow. Dębica

*

„My chłopi małorolni — biliśmy się w strajkach chłopskich w okresie Polski sanacyjnej o ten dobrobyt, który mamy obecnie w Polsce Ludowej. Pamiętam jak policja granatowa zamknęła mnie do więzienia we Lwowie, które to więzienie było przeznaczone dla wielkich zbrodniarzy, a ja przecież walczył o chleb i pracę".

CHMURA WOJCIECH
Gniewczyn, gm. Tryńcza, pow. Przework

Dziś

W jednym tylko roku 1951 rozpoczęło produkcję w woj. rzeszowskim 10 nowych zakładów przemysłu wielkiego i średniego, 26 zakładów przemysłowych oddano do użytku w stanie surowym. Zatrudnienie w samym tylko przemyśle woj. rzeszowskiego (nie licząc odpływu do zajęć rolniczych i pozarolniczych na Ziemiach Odzyskanych, do Nowej Huty, do odbudowy Warszawy) wzrosło do 75 tys. robotników. Ludność zatrudniona w zawodach pozarolniczych stanowi już 26 proc. ogółu ludności województwa...

Przeciętne plony w drobnych i średnich gospodarstwach chłopskich wzrosły do roku 1951: pszenicy o 2 q z ha, jęczmienia i owsa o 7 q z ha, ziemniaków o 30 q z ha w porównaniu z przed wojną, zbiory zaś w spółdzielniach produkcyjnych wzrosły w por. z przed wojną: pszenicy o 6 q, jęczmienia o 15 q, owsa o 10 q, ziemniaków o 90 q z ha...

Wybudowano 354 klm nowych dróg o trwałej nawierzchni, 3520 nowych izb mieszkalnych.

Zlikwidowano analfabetyzm na wsi i w mieście, zorganizowano 270 przedszkoli, liczba szkół podstawowych wzrosła do 716, (a liczba dzieci kończących naukę do 87 proc.), w 91 szkołach zawodowych zdobywa wiedzę 21 tysięcy chłopców i dziewcząt, 3500 młodzieży robotniczej i chłopskiej skierowano na wyższe studia w kraju, a 40 na studia zagranicą....

Na terenie wsi rzeszowskiej działa już 804 świetlic, 462 bibliotek, 34 radiowęzłów, 56 stałych i 11 objazdowych kin....

„Dyskutując nad projektem Konstytucji przypominam sobie lata przed wrześniem 1939 r. a szczególnie rok 1937, jak my chłopi wyruszyli i wzięli czynny udział w strajku i jak sanacja krwawo zdusiła chłopski ruch, pakując chłopów w kryminały i prześladując ich na każdym kroku. A przecież chłop nic nie chciał nadzwyczajnego, tylko chciał żyć i podnieść swoją stopę życiową.

Jak wyglądała ta stopa życiowa weźmy choćby na przykładzie:

Przed wojną za 1 jajko w najlepszym razie kupiono jednego papierosa, dziś za jajko kupi się 20 papierosów. Dziś za 3—4 jajka 1 kg cukru, przed wojną trzeba było za 1 kg cukru 20—24 jajek.

Dlatego cieszę się, że właśnie dzisiaj Konstytucja, jako najwyższa ustawa, broni nas od wyzysku i ucisku i daje nam prawo równości, za co jesteśmy wdzięczni Partii i Rządowi Ludowemu".

WŁADYSŁAW NOŻKA
gr. Jabłonica Polska pow. Brzozów

*

„Za Polski sanacyjnej w mojej gromadzie szkoliło się dwóch synów bogatszych chłopów. Dziś, za Polski Ludowej z mojej gromady już mamy 17 chłopskich synów na różnych stanowiskach, w tym dwóch oficerów. Obecnie 23 synów i córek mało i średniorolnych chłopów kształci się w różnych zawodach. Z naszej gromady wyjechało 35 osób do fabryk, które to osoby mają zapewniony byt i opiekę lekarską, jak i wzrost stopy życiowej. Za te przemiany jakie zaszły w naszej wsi jesteśmy wdzięczni naszemu Rządowi Ludowemu".

WŁADYSŁAW GOLEŃ
gr. Smolarzyny, gm. Zołynia pow. Łańcut

*

„Ojciec mój miał nas 8 dzieci. Jak tylko podrośliśmy, to musieliśmy iść do dworu do roboty. Ojciec do szkoły nas posyłał, ale najdalej do czwartej klasy, bo tylko taka była w naszej wsi. Trudno było i tę czwartą klasę skończyć, bom musiał chodzić do dworu poganiać konie. Będąc we dworze musiałem się bardzo grzecznie zachowywać i umieć się panu zarządcy ładnie i nisko kłaniać, ażeby mnie przyjął na przednówku do roboty. Chleba mało jedliśmy, bo go zawsze brakowało a nie było gdzie na niego zarobić. Najgorzej było na przednówku, bo i we dworze trudno było w tym czasie dostać robotę. Dlatego mój ojciec brał zboże na odrobek u jednego zamożnego gospodarza na wsi. Nie tylko, że trzeba było to zboże oddać, ale musiało się we żniwa, jak był dzień najdłuższy odrabiać za wypożyczenie tego zboża. A ubranie, to mi dopiero ojciec kupił, jak zacząłem chodzić do szkoły. Dziś w Polsce Ludowej jestem ojcem 10 dzieci i nic się nimi nie martwię dzięki Władzy Ludowej. Pięcioro moich dzieci jest na Ziemiach Odzyskanych: — córka jest we Wrocławiu w szpitalu wojskowym w randze podporucznika, syn — w Bytomiu, jako górnik i trzy córki w fabryce włókienniczej. Jeden młodszy syn uczęszcza do szkoły mechanicznej k. Dębicy. Jeszcze w domu mam 4 dzieci, z tego troje uczęszcza do szkoły podstawowej a syn, który ukończył 7 klas, pracuje na roli, bo ja pełnię obowiązki sołtysa. Widząc to kułacy, myślą sobie, jak to się stało, że „dziadom" tak dobrze się powodzi i różnie sobie kombinują, jakby tu znaleźć jakieś wyjście, ażeby ich nie spotkało to, że muszą z tymi biednymi razem stanąć do pracy".

KAMIŃSKI WŁADYSŁAW
gr. Stasiówka, pow. Dębica

*

Moja gromada Posada Zarszyńska uległa dwukrotnie spaleniu w okresie działań wojennych. Pierwszy raz w roku 1916, kiedy zostało 50 proc. budynków mieszkalnych spalonych. Obywatele chcąc wybudować sobie jakiś dach nad głową zwracali się do rządu sanacyjnego o pomoc materialną — lecz spełzło to na niczym. Obywatele musieli własnymi środkami o własnych siłach budować domy, odejmując dzieciom i sobie ostatni kęs chleba od ust. W naszej wiosce zanim wybudowaliśmy liche domki, minęło 15 lat. Drugi raz nasza wioska została spalona na froncie przez okupanta hitlerowskiego w roku 1944 w 80 proc. Ale zaledwie front przeszedł i wojna się skończyła — nasz Rząd Ludowy zaopiekował się pogorzelcami i przyszedł im z pomocą w formie materiałów budowlanych, jak drzewo, cement i pokrycie na dachy, oraz w formie długoterminowych pożyczek. Ta pomoc umożliwiła szybką budowę pięknych domków jednorodzinnych. Dziś po siedmiu latach wioska została z powrotem odbudowana o wiele piękniej niż była. Obywatele gromady nie odczuwają wcale ciężaru budowy, lecz przeciwnie — lepiej się ubierają, odżywiają i dzieci posyłają do różnego typu szkół.

Obywatele naszej gromady są głęboko wdzięczni za tę wielką pomoc Rządowi robotniczo - chłopskiemu".

RYSZ STANISŁAW
gr. Posada Zarszyńska gm. Zarszyn pow. Sanok

Jutro

„ROZDZIAŁ 4)*
ROZWÓJ GOSPODARCZY WOJEWÓDZTW
WOJ. RZESZOWSKIE

Art. 20. Należy rozbudować przemysł naftowy na Podkarpaciu oraz rozwinąć przemysł na terenie większych miast. Należy: rozbudować zakłady przemysłowe w Mielcu i Stalowej Woli, wybudować 24 nowe ważniejsze zakłady przemysłu wielkiego i średniego; zwiększyć wartość produkcji przemysłu socjalistycznego przeszło trzy i półkrotnie; podnieść zatrudnienie w przemyśle do ponad 75 tys. osób. Osiągnąć wzrost produkcji rolniczej o 51 proc., w tym produkcji roślinnej o 44 proc., a zwierzęcej o 58 proc., zlikwidować resztę odłogów; zwiększyć zbiory pszenicy o 68 proc., jęczmienia o 114 proc., nasion oleistych i włóknistych o 271 proc., podnieść pogłowie trzody chlewnej o 117 proc. i owiec o 620 proc., zwiększyć obszar lasów o ok. 10 proc., przeprowadzając zalesienie 44 tys. ha.

Dla zaspokojenia potrzeb pracowników rozwijającego się przemysłu zwiększyć liczbę izb mieszkalnych w miastach o 23 tys., głównie w Rzeszowie, Stalowej Woli, Dębicy, Gorlicach, Krośnie, Jaśle, Łańcucie".

„Gmina Laszki ma 12 gromad. W tejże gminie już jest 11 spółdzielni produkcyjnych, które są przykładem dla chłopów gospodarujących indywidualnie. W mojej gromadzie jest spółdzielnia produkcyjna, to mogłem się naocznie przekonać, że przez kolektywną i zmechanizowaną uprawę ziemi można osiągnąć większą wydajność z 1 ha, przez co dochody chłopów znacznie się zwiększyły. Również i państwo ma większe korzyści, bo w planowym skupie zboże członkowie spółdzielni wywiązali się ze swego obowiązku przed terminem i ponad plan".

JAN SRODZIŃSKI
gm. Laszki, pow. Jarosław

*

„Dzisiaj życie w mojej gromadzie jest na wysokim dość poziomie, bo jest założona spółdzielnia produkcyjna. Pomimo przeszkody ze strony kułaków, my mało i średniorolni chłopi zwyciężyliśmy i dziś możemy się poszczycić spółdzielnią produkcyjną, która została założona w 1950 roku. Dziś w mojej gromadzie jest światło elektryczne, radio i telefon. Spółdzielcy z mojej gromady mówią, że dopiero teraz ich oczy naprawdę przejrzały na świat.

Zarobek spółdzielni jest duży, bo dniówka obrachunkowa ostatnio wyniosła 25 złotych. Kiedy za sanacji chłopi mojej gromady chodzili boso, często bez koszul — to dziś chodzą dobrze i dostatnio ubrani. Jeżeli za sanacji chłopi mojej gromady nie mieli nawet czarnego chleba — to dziś mają pod dostatkiem chleba białego, cukru, i mięsa. Dziś każdy spółdzielca mówi, że wie, że żyje w Polsce Ludowej".

ZWIERZCHOWSKI JÓZEF
gr. Stubno, pow. Przemyśl

*) Z ustawy o Planie 6-letnim.

JAN SKALSKI

NIE ZAPOMINAĆ O CZUJNOŚCI

Są jeszcze takie dziedziny życia, które opinia publiczna wsi w wielu wypadkach uważa za czysto prywatne, wewnętrzne, rodzinne sprawy kułaka. Np. sprawa wyzysku najemników, podopiecznych względnie tzw. ubogich krewnych.

Sprawy te bynajmniej nie są tylko prywatnymi i osobistymi sprawami lecz mają charakter wybitnie społeczny i one właśnie wpływają na ogólną atmosferę społeczną wsi. Przyjrzyjmy się im bliżej.

Zdawać by się mogło, że ostatnimi czasy nawiedziła bogaczy wiejskich jakaś fala litości. Chętnie przygarniają (na okres siewów, żniw i orek) pozbawionych opieki starców, biorą na wychowanie nieletnie sieroty i „pomagają" ubogim krewnym. Na marginesie zaznaczmy, że bogacze wiejscy zawsze mieli słabość do tego rodzaju filantropii. Słabość tę pogłębiły ostatnie lata.

Tutaj oddajemy głos ekonomiście. Podobnie jak kapitalista miejski kułak opierał swe możliwości wyzysku na istnieniu rezerwowej armii ukrytych bezrobotnych, których nasza wieś liczyła przed wojną około 8 milionów. Dziś ten tani rezerwuar sił roboczych nie istnieje. Część głodu ziemi zaspokoiła reforma rolna i osadnictwo na Ziemiach Odzyskanych. Nadwyżkę rąk do pracy wchłania rozbudowujący się przemysł. Młodzież odpływa do szkół.

W tym stanie rzeczy bogacze sięgają po ten ostatni materiał, który jeszcze pozostaje na „rynku": starców, sieroty, ubogich krewnych, półanalfabetów. Materiał to zapewne nie najlepszy, ale za to łatwy do bezwzględnej eksploatacji, tym straszliwszej, że ukrytej pod płaszczykiem filantropii.

W gromadzie Adamów na Lubelszczyźnie gospodarz Stanisław Rukard zatrudnia 15-letniego chłopca Wacława Lipczuka. Krótka charakterystyka obu stron. Stanisław Rukard: posiadacz 11 hektarowego gospodarstwa, 17 sztuk inwentarza żywego, były volksdeutsch .Wacław Lipczuk: wiek — 15 lat, analfabeta, ojciec nie żyje, matka choruje ciężko na gruźlicę. Chłopak dostaje do jedzenia kartofle w łupinach, którymi Rukard karmi świnie. Stosunek najmu przerywa wypadek. Ciężko pobity przez Rukardową chłopak zostaje odwieziony do szpitala .Całe zajście miało miejsce w listopadzie w ub. roku.

Kułak Jan Bastrzyk (pow. Chełm) w maju 1950 r. „zaopiekował" się 84-letnią staruszką Anną Pajęczkowską. Wyglądało to tak, że starowina pracowała po 16 godzin dziennie w polu i w ogrodzie, doiła cztery krowy i karmiła kilkanaście świń. Nie tylko jednak nie otrzymała zapłaty, lecz sama musiała jeszcze słono dopłacić. Otóż Bastrzyk dowiedział się, że Pajączkowska ma schowane 17 tysięcy złotych (w starej walucie) pozostałych jej ze sprzedaży ostatniej krowy.

Bastrzyk namówił ją, żeby mu tych pieniędzy pożyczyła, obiecując w zamian utrzymywać ją do śmierci i pogrzeb, jak należy po chrześcijańsku wyprawić.

W czasie wykopków Bastrzyk „wypożyczał" ją na odróbki swoim wierzycielom. Między innymi kopała kartofle u niejakiego Dołęgowskiego na poczet pokrycia należności za użytkowanie buhaja przez Bastrzyka.

Wszystko było jako tako, (dostała nawet od dobroczyńcy chusteczkę na głowę i bluzkę kretonową), póki zima nie przyszła. Wtedy zaczęła nagle zawadzać Bastrzykom w domu. W końcu musiała ich opuścić. 17 tysięcy złotych niestety zostało.

U kułaka Wacława Chomy w Zaróbce pow. Chełm siedem lat haruje na 16-hektarowym gospodarstwie sierota Gieniek Lesiński, repatriant z za Buga, którego Choma „litościwie" przygarnął. Oczywiście nie płacił mu ani grosza, ale uważał się za dobrodzieja.

Specjalnym rodzajem wyzysku uprawianym przez kułaków jest wyzysk na „łonie rodziny". Oczywiście chodzi z reguły o biednego krewnego. Dobrodziejstwo polega tu zazwyczaj na tym, że kułak obrabia względnie dzierżawi ziemię krewniaka albo „przygarnia" go i „utrzymuje" w zamian za pomoc w gospodarce.

Jak to zaś wygląda w rzeczywistości dowiadujemy się np. ze stosunków domowych wyżej wspomnianego kułaka Chomy. Posiada on własnych 12 ha ziemi, dalsze zaś 4 ha dzierżawi od siostry swej wdowy Kazimiery już od 10 lat, płacąc jej 5 metrów żyta rocznie. Uczucia rodzinne nie pozwalają widocznie płacić więcej. W zamian za to dobry kułak utrzymuje córkę swej siostry Marysię. Wprawdzie dziewczyna ma już 12 lat i dobrzy wujostwo wyręczają się nią w najcięższych pracach, ale i tak nazywa się, że nie wujowie żyją z jej pracy, ale ona jest „na łaskawym utrzymaniu" wujów.

Opisane tu przykładowo tragedie i krzywdy nie są prywatne, są to krzywdy społeczne. Ludzie na wsi na ten wyzysk patrzą. Widzą tę grabież sił i majątku biedniejszych i tam gdzie jest ona tolerowana obniża się autorytet władzy ludowej, umacnia się z powrotem defetystyczny pogląd, że „bogaty zawsze górą", i chwieje wiara, że potrafimy ograniczyć i izolować kułaka. To samo dzieje się w przypadku innych posunięć kułaka jak np. ukrycia ziemi lub fikcyjnego podziału gruntów, celem uzyskania mniejszego niż należy wymiaru podatku. Szkodliwość takich manewrów polega nie tylko na tym, że jest to oszukanie państwa ludowego i pozbawienie go należnych świadczeń, ale także na oddziaływaniu oszustwa na gromadę. Oszustwa takie rozgoryczają uczciwych chłopów, tym bardziej, że z reguły połączone jest z nadużyciami w urzędzie gminnym, z kumoterstwem, z biurokracją, a te najwięcej chłopa pracującego bolą.

Kułak Stanisław Misiuda w Polanowie pow. Sandomierz poradził sobie w ten sposób, że swoje 26 mórg podzielił „przy pomocy wódki" między 2 synów. Jeden dostał 8 mórg, drugi 8 mórg. Że razem mieszkają i jedno gospodarstwo prowadzą, to już drobiazg. Syn jest sołtysem, a ojciec ma znajomości w urzędzie gminnym... Na gospodarstwie odrabia za konie dłużnik Wincenty Wilk, a dłużniczka Maria Obrębska — za mąkę i kartofle. Żyć nie umierać!

Kułacy wyciągają z lamusa stare babki, ubogich kuzynów i każą im grać rolę nominalnych właścicieli tego lub innego niewygodnego kawałka ziemi.

Kułak Jan Golonko wyciągnął skądś 80-letnią krewniaczkę i podawał ją jako właścicielkę niewygodnych hektarów, co nie przeszkadzało mu trzymać staruszkę w kurniku, w brudzie i nędzy. W podobnych warunkach trzyma 14-letniego parobka półsierotę. Chłopak nie chodzi do szkoły. Kułak nie dał sobie nawet o tym wspomnieć, twierdząc, że na roli pracować można nie będąc „uczonym". Zakrywał umyślnie przed chłopcem tę zdobycz ludową, jaką jest bezpłatna nauka i usiłował go przekonać, że jako sierota i tak nie będzie miał za co się uczyć.

Niektórzy kułacy idą zresztą dalej i jako właściciele niewygodnych hektarów podają bezczelnie osoby istniejące tylko w rejestrze biurokraty — to znaczy zmarłych — „martwe dusze".

Kułak Stefan Zakrzewski posiadacz 17,48 ha ziemi w gromadzie Siarzewo pow. Aleksandrów Kujawski posiada w sąsiedniej gromadzie jeszcze 5 ha ziemi lecz ta ziemia figuruje w wykazach podatkowych na nazwisko jego teścia dawno już nie żyjącego; oczywiście w gminie o tym wiedzą, ale ochraniają Zakrzewskiego, bo kumoter. Jego krewniak posiada 3,5 ha „własnej" ziemi reszta to ziemia po zmarłym stryju Karolu. Przytyka ona do jego pola, spadkobierca pieczołowicie jednak utrzymuje miedzę, choć jest właścicielem obu kawałków.

O tych „martwych duszach" w gromadzie Siarzewo wie sołtys — ale milczy bo i sam nie jest bez winy.

Szczególnie niebezpiecznym staje się kułak, któremu udało się wślizgnąć do aparatu władzy terenowej. Jak bardzo szkodzi władzy ludowej taki np. sołtys jak Tadeusz Jaśkowski, który posiada ukryte 5 ha w „dobrej klasie". Jego sąsiedzi mający tyle samo ziemi wpłacili po 2 tys. złotych zaliczki na podatek, on zaś zaledwie siedemset złotych. Sołtys ten „osłaniał" kułaków w czasie planowego skupu zboża, przydzielone zaś na gromadę obręcze na koła — towar szczególnie poszukiwany — rozsprzedał kułakom (również z sąsiednich wsi — oczywiście po specjalnych cenach).

Jeszcze gorzej wygląda sprawa, gdy kułak siedzi w Prezydium Gminnej Rady jak niejaki Skrzypek w Przesławiu. Ten nie tylko sam zrobił się małorolnym ale pomógł jak umiał rodzince. A było tego 5-ciu braci i dwu szwagrów — każdemu z nich rozdzielił pole na 2 lub trzy pozycje.

We wsi Lody w woj. białostockim na stanowisko sołtysa wkręcił się kułak Leoniuk, posiadacz 14 ha. Kułak na stanowisku sołtysa — to z reguły „terrorysta". Leoniuk wypasał swoje konie i krowy na gruntach sąsiadów. W razie sprzeciwu straszył. Potrafił wykorzystywać stanowisko sołtysa i w inny sposób. Ukrył mianowicie 6 hektarów ziemi i podatki płacił tylko z 8-miu. Podobnie oszukał ze skupem. Nie trudno sobie wyobrazić jaki to miało szkodliwy, demobilizujący i demoralizujący wpływ na gromadę.

Dobrze, powie, czytelnik, ale co na to wszystko gromada? Czy przygląda się biernie...? Gdzie jest jej odpowiedź jej opinia, jej walka?

Cierpliwości. Zapewniam Was że jest. Przejawiła się nawet w tych zdawałoby się najtrudniejszych wypadkach. Powiemy o niej na końcu.

To już nie te czasy kiedy Korona i inni kułacy z opowiadań Kuśmierka terroryzowali całą wieś i trzeba było czekać na odsiecz ze strony dziennikarza.

A teraz pokażemy jeszcze jeden, najwstrętniejszy typ kułaka. Typ ten mniej się liczy z opinią wsi, jest bardziej agresywny, i bezczelny w swych wystąpieniach. Niekiedy ucieka się do metod zgoła bandyckich. Ten typ dał się we znaki zwłaszcza na Ziemiach Odzyskanych.

Bogacz Władysław Czapla z pow. Sztum, kiedy mu sołtys doręczył kwit z wysokością wymierzonego zboża na skup, rzucił się na niego z pięściami i brudnymi słowami i wypędził przy czynnej pomocy rodzinki. Na zebraniach gromadzkich stale awanturuje się. Całe lato pasie krowy na łące PGR Domaszek, gdy sprawa wychodzi na jaw, łagodzi „półlitrem" wódki. Jego syn uprawia kilka nie ujawnionych hektarów ziemi. W poszukiwaniu intratniejszego zajęcia za namową rodzinki obejmuje posadę ekspedienta w sklepie GS-u. Nawiązuje dalsze stosunki. Dochodzi do tego, że do wykopków buraków Czaplowie najmują ludzi z PGR Linki.

Kiedy zaś sprawa Czaplów dzięki inicjatywie członka partii Doroty Stolarz znalazła się na posiedzeniu podstawowej organizacji partyjnej, Czaplowie napadli nazajutrz na siostry Stolarz, jadące rowerem do pracy, bijąc je pałkami i kamieniami. Dorotę Stolarz młody Czapla uderzył trzy razy w twarz, odgrażając się i lżąc partyjnych.

Ten ostatni wypadek to już nie tylko meldunek o kułackich występkach — to także meldunek o walce jaką aktywistka kobieta i organizacja partyjna podjęła przeciw wrogowi klasowemu.

Bo te wszystkie wypadki, jakie opisałem nie przeminęły bez śladu, nie uszły bezkarnie wrogowi. Właśnie dlatego o nich mogliśmy się dowiedzieć. Skądże one pochodzą? Z akt sądowych? Z protokułów milicji? Z notatek Kuśmierkowego dziennikarza? Z dokumentów komisji kontrolnych?

Nie — z żadnej instancji odgórnej. Pochodzą z dołu. To są terenowe korespondencje, jakie tysiącami napływają do pism masowych.

Korespondencję w sprawie Lipczuka napisał ZMP-owiec, jego kolega. Młodociany Lipczuk pozwolił się tak bezkarnie gnębić przez Rukarda dlatego także, że był analfabetą. Odsłania nam się tu klasowy aspekt walki z analfabetyzmem. Przypadek Lipczuka tłumaczy dostatecznie jasno dlaczego bogacze wiejscy sabotują i utrudniają walkę z analfabetyzmem.

Lecz coraz częściej wyzyskiwani już sami umieją upominać się o swoje krzywdy.

Oto pisze w sprawie należności za pracę Józef Żak, sierota z pow. Kwidzyń, który przez dwa lata pracował u kułaka „od nocy do nocy", a w „wolnych" chwilach bawił jego dzieci.

Józef Żak porzucił służbę u kułaka i został zatrudniony w pobliskim PGR-ze.

W sprawie sołtysa kułaka Jaśkowskiego napisali zbiorowo małorolni gromady Łępice pow. Grajewo. Pisze list w sprawie wyzysku kułaka 13-letni uczeń szkoły podstawowej Marian Grabowski z pow. Opatów. W sprawie spekulanta Andrzeja Bańbuły napisali zbiorowo producenci mleka z Chodowa pow. Miechów, przeciwko wyzyskiwaczowi, sklepikarzowi Julianowi Sromkowi z Łęk napisały wspólnie kobiety.

Te korespondencje to są prologi spraw odkrytych i poruszonych przez samych chłopów — odkrytych do walki. Pisane są te korespondencje niewprawną ręką, krzywo, nieraz jeszcze z błędami ortograficznymi ale z pasją, jakiej pozazdrościć by mógł nie jeden publicysta. W taki sposób na manewr wroga odpowiada gromada.

W taki sposób zaczynało się wiele bitew klasowych, które doprowadziły do odizolowania kułaka i odebrania mu możliwości wyzysku.

Jan Skalski

CZESŁAW PETELSKI

NARADA FILMOWA

ZJAZDY i narady twórcze pracowników literatury, plastyki, muzyki, teatru i filmu stały się już u nas tradycją i podobnie jak w Związku Radzieckim odgrywają doniosłą rolę w naszym życiu kulturalnym. Trudno bowiem mówić o świadomym, planowym rozwoju tej czy innej gałęzi sztuki bez systematycznego kontrolowania jej dotychczasowych osiągnięć i braków, bez krytyki i samokrytyki samych twórców, bez szeroko pojętej analizy dorobku, która umożliwia sformułowanie wytycznych do dalszej pracy. Tę słuszną metodę postępowania za przykładem innych dziedzin sztuki coraz szerzej stosuje również nasza kinematografia.

W listopadzie 1949 roku odbył się w Wiśle — I-szy ogólnopolski zjazd filmowy, który stał się punktem zwrotnym w rozwoju polskiego filmu. Jego historyczne znaczenie polegało na tym, że związał on silniej polską sztukę filmową z walką klasy robotniczej o socjalizm, że odciął naszą kinematografię od błędów ideologicznych, które wkradły się do filmu jako odbicie odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego. Twórczość tego okresu, obracając się przeważnie w kręgu tematyki okupacyjnej, była obciążona koncepcjami gomółkowskiego solidaryzmu narodowego i „wygasania" walki klasowej i jedynie w znikomym stopniu nawiązywała do rewolucyjnych przemian naszej współczesności („Czarci żleb", „Skarb" i film dokumentarny „Szeroka droga"). Zjazd wiślański w zasadniczy sposób zmienił profil ideologiczny naszej kinematografii, dokonał także przełomu tematycznego.

Na przestrzeni ostatnich dwóch lat, które dzielą nas od zjazdu w Wiśle, zrealizowano u nas siedem filmów fabularnych: w tym dwa nawiązujące do naszych tradycji narodowych („Warszawska premiera" i „Młodość Chopina"), oraz pięć o tematyce współczesnej („Dwie brygady", „Pierwszy start", „Załoga", „Pierwsze dni" i „Gromada"). Warto również wymienić pełnometrażowy film dokumentarny „Pokój zdobędzie świat". W omawianym okresie nastąpił wyraźny zwrot ku współczesności, filmy w większości wypadków stały się bardziej dojrzałe ideologicznie i artystycznie, została dokonana pierwsza próba stworzenia filmu o tematyce zdecydowanie rewolucyjnej, partyjnej („Pierwsze dni"), powstało wreszcie jedno z największych osiągnięć artystycznych sztuki filmowej na miarę światową — „Młodość Chopina". Mimo tych niewątpliwych osiągnięć film nasz wciąż jeszcze nie nadążał za życiem, nie potrafił jeszcze dotąd ogarnąć całego bogactwa problematyki naszej współczesności, wciąż jeszcze za mało aktywnie uczestniczył w dokonujących się u nas przemianach gospodarczo-społecznych i politycznych. Główną przyczyną tego stanu rzeczy był brak scenariuszy i stosunkowo mała ilość produkowanych filmów.

W tej sytuacji niesłychanie doniosłe znaczenie dla dalszego rozwoju naszej kinematografii stanowić będą postulaty i zalecenia II-ej ogólnopolskiej narady twórczej filmowców, która odbyła się w dniach 15 i 16 b.m. w Radzie Państwa w Warszawie. W naradzie tej, która zgromadziła około 250 przedstawicieli świata filmowego, oraz literatów i artystów związanych z filmem, wzięli również udział między innymi sekretarz KC PZPR Edward Ochab, minister Kultury i Sztuki Stanisław Dybowski, wiceminister Włodzimierz Sokorski, oraz kierownik Wydziału Prasy i Wydawnictw KC PZPR S. Staszewski. Dwudniowe obrady toczyły się pod znakiem walki o ilościowe i jakościowe podniesienie poziomu naszej produkcji filmowej.

Ważnym wydarzeniem, zakomunikowanym na naradzie, była decyzja Rządu o rozszerzeniu bazy materialnej polskiej kinematografii. Wiceminister W. Sokorski zapoznając zebranych z treścią uchwały stwierdził, że przyznane kredyty staną się podstawą dla uruchomienia nowych ateliér i hal zdjęciowych, zwiększą dwukrotnie nasze możliwości produkcyjne. Przewidziane jest uruchomienie jeszcze w bieżącym roku nowego atelier filmowego we Wrocławiu albo Poznaniu, oraz rozpoczęcie budowy hal zdjęciowych w Warszawie. Niezależnie od tego ma ulec dalszej rozbudowie ośrodek łódzki, gdzie zostaną stworzone warunki umożliwiające realizację filmów barwnych. Tak więc decyzja Rządu stwarza materialne podstawy dla wydatnego, dwu-, a nawet trzykrotnego zwiększenia ilości produkowanych filmów.

Ale jak wiemy, o rozwoju każdej dziedziny sztuki, a więc i filmu decyduje nie tylko ilość, ale i jakość. W tym wypadku rozstrzygające znaczenie ma postawa samych twórców. Narada warszawska wykazała, że nasi realizatorzy muszą bardziej aktywnie niż dotychczas uczestniczyć w dokonujących się u nas przemianach, z większą pasją i śmiałością atakować problemy współczesności, rozszerzać i pogłębiać tematykę, dążyć nieustannie do podnoszenia poziomu ideologicznych i artystycznych wartości realizowanych filmów. Oto co na ten temat mówił na naradzie sekretarz KC PZPR tow. Edward Ochab:

„Twórczo wykorzystując wzory radzieckie, pokażcie piękno i patos walki o socjalistyczny rozwój naszego przemysłu i rolnictwa, pokażcie, jak rośnie nowy człowiek w Polsce Ludowej, świadomy twórca, wierny żołnierz wyzwolonego narodu".

„Pokażcie w wysoce artystycznych filmach przodujących ludzi naszego kraju, przodujących robotników-nowatorów Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego, Warszawy i Łodzi, Wrocławia i Wybrzeża, PGR i POM, przodującą inteligencję techniczną i twórczą wiernie służącą ludowi pracującemu, przodujących chłopów i młodzież wiejską, walczących o zwycięstwo wolnej od wyzysku, zmechanizowanej gospodarki zespołowej w rolnictwie, pokażcie najlepszych patriotów polskich walczących o pokój, o zwycięstwo socjalizmu. W kierowanej przez Partię pracy i walce przodujących patriotów polskich pokażcie piękno i wielkość naszej stalinowskiej epoki, patos budownictwa socjalistycznego, słoneczne perspektywy komunizmu".

Nieodzownym warunkiem wykonania tego wielkiego programu tematycznego jest postawienie na właściwym poziomie naszej twórczości scenariuszowej. Bez dostatecznej ilości dobrych, pełnowartościowych ideologicznie i artystycznie scenariuszy trudno mówić o rozwoju filmu. Jest to zagadnienie tym bardziej trudne i skomplikowane, że nie mamy u nas wyspecjalizowanej kadry scenarzystów, a współpraca literatów z filmem, niestety, pozostawiała dotąd wiele do życzenia. Bardzo często literaci traktowali pisanie scenariusza jako dodatkowe, drugorzędne zajęcie na marginesie swoich właściwych zainteresowań, z drugiej zaś strony wydział programowy Filmu Polskiego nie doceniał wkładu pracy literatów w dzieło filmowe, nie zawsze umiał z nimi znaleźć płaszczyznę porozumienia, nie zawsze potrafił właściwie sformułować zamówienie społeczne. Co gorsza, proces twórczości scenariuszowej cierpiał na brak pracy przygotowawczej przed rozpoczęciem pisania, brak wszechstronnej, pogłębionej dokumentacji, brak dostatecznej znajomości życia.

Zagadnienie scenariusza omówił na warszawskiej naradzie w swoim referacie prezes Centralnego Urzędu Kinematografii tow. Stanisław Albrecht, mówili o nim również liczni dyskutanci: J. Putrament, J. Pański, E. Szuster, B. Czeszko, G. Lasota, A. Ważyk, J. Toeplitz, S. Wohl, J. Pomianowski, B. Hamera i inni. Dyskutanci podkreślali olbrzymią wagę scenariusza jako samodzielnego gatunku literackiego, a jednocześnie podstawę do powstania dzieła filmowego. Aby uchronić od błędów realizowane filmy, trzeba przede wszystkim wzmóc walkę z deklaratywnością i schematyzmem, z powierzchownym traktowaniem poruszanych w scenariuszu zagadnień. Dyskusja wykazała również konieczność dalszego zacieśnienia i pogłębienia współpracy literatów z filmem. W przyszłości plany tematyczne wytwórni będą opracowywane w porozumieniu z literatami, przy aktywnym udziale Związku Literatów Polskich. Wysunięto również projekt utworzenia przy ZLP sekcji scenariopisarskiej.

Do ilościowego i jakościowego podniesienia poziomu naszej twórczości scenariuszowej przyczyni się również zwiększenie ilości realizowanych filmów. Scenarzysta bowiem, jak stwierdził reżyser Aleksander Ford, może się wykształcić i wyspecjalizować jedynie w oparciu o warsztat, w oparciu o konkretną współpracę podczas procesu realizacji.

Ale film to nie tylko scenariusz. Zwiększenie produkcji to z jednej strony bardziej racjonalne niż dotychczas wykorzystanie kadr twórczych, z drugiej zaś zapewnienie dopływu i szkolenia nowych reżyserów, operatorów i pracowników twórczych wszystkich specjalności. Omówienie tych kluczowych dla rozwoju kinematografii zagadnień znalazło swój wyraz w deklaracji sekcji filmowej Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu, którą na naradzie zreferowała reż. Wanda Jakubowska. Deklaracja SPATIF-u, postulując ilościowe zwiększenie produkcji wysunęła projekt utworzenia zespołów twórczych. Wydaje się, że szeroko dyskutowana na naradzie zasada twórczości zespołowej w znacznym stopniu przyczyni się do zwiększenia operatywności istniejących kadr, oraz zaktywizuje naszą młodzież filmową. Odnosi się to przede wszystkim do absolwentów PWSF, którzy po ukończeniu studiów nie byli otoczeni żadną opieką pedagogiczną, nie mieli możności dalszego szkolenia się i byli przeważnie wykorzystywani w funkcjach pomocniczych. Zespoły twórcze, dając młodzieży filmowej opiekę i warunki dalszego szkolenia, umożliwią jej jednocześnie rozpoczęcie samodzielnej pracy twórczej pod kierownictwem doświadczonych reżyserów i operatorów.

Z zagadnieniem nowych kadr wiąże się również omawiana na naradzie sprawa naszego szkolnictwa filmowego, które nie było dotąd postawione na należytym poziomie. Istniejąca w Łodzi Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa nie była otoczona dostateczną opieką. Brak kadr pedagogicznych, brak warsztatu realizatorskiego, brak odpowiednich środków technicznych dla wykonania praktycznych prac — oto jej główne bolączki. Obecnie, jak stwierdził w swoim podsumowaniu wiceminister W. Sokorski, uchwała Rządu stwarza realną bazę dla istnienia i rozwoju szkoły. Jedynie przez umożliwienie studentom PWSF robienia prac praktycznych i ich dyskutowania, przez stały kontakt, stałą pracę z młodzieżą można wychować i wyszkolić nowe kadry.

Rozwój sztuki filmowej nakłada także zwiększone obowiązki na naszą krytykę i publicystykę, która winna szerzyć i podnosić poziom kultury filmowej wśród szerokich rzesz społeczeństwa, pomagając jednocześnie twórcom w ich pracy. I na tym odcinku mamy jeszcze wiele do zrobienia. Nasza krytyka w poważnych pismach literackich nie powinna, jak dotąd ograniczać się jedynie do omawiania strony ideologicznej dzieła, ale poddawać również gruntownej analizie zagadnienia warsztatu realizatorskiego, walczyć o wysoką wartość artystyczną filmów.

Wyniki obrad warszawskich można by podsumować w jednym zdaniu: będziemy produkowali więcej i lepiej. Wierzymy, że nasi filmowcy potrafią w pełni wykorzystać warunki, jakie stwarza im państwo, że na naszych ekranach coraz częściej będą pojawiały się tak doskonałe dzieła sztuki filmowej realizmu socjalistycznego jak „Młodość Chopina".

Czesław Petelski

Mój ojciec był bezrobotnym

(Dokończenie ze str. 2-ej)

szkole nauczyciel w tak bezczelny sposób zachował się wobec moich prostych słów, które niczym innym nie były, jak tylko odrobiną prawdy. I właśnie wtedy dojrzała we mnie myśl: pisać. Ale co, jak, o czym, tego nie wiedziałem. Myśl ta nie odstępowała jednak ode mnie. Jednego wieczoru, gdy wszyscy pokładli się spać, siadłem przy stole, przykręciłem lampę naftową i na kartce szkolnego zeszytu zacząłem pisać. Pisałem, przekreślałem, poprawiałem długie godziny, aż w końcu z moich gryzmołów taki oto wyszedł wierszyk:

My ludzie z czworaków
Z dziurawych drewnianych baraków
Z rynku i z ulicy
Kiedyś z panami się policzym.
Może jeszcze długie lata miną
Wiosny, lata, jesienie, zimy
Pełne udręki — waszych czynów
Panowie, nie zapomnimy!
Jeżeli odejdą ojcowie nasi
My biedne dzieci
Z suteren, baraków, poddaszy
Tą samą ulicą co oni sztandar
czerwony poniesiem.
Za głód i nędzę
Za łzy i rozpacz naszych matek
Panowie, w wielkiej historii księdze
Wam wystawimy rachunek
na ostatek...

Kilka razy przeczytałem sobie ten wierszyk. U góry napisałem tytuł: *„Nie zapomnimy"*, podpisałem się u dołu pełnym nazwiskiem i imieniem. Całą kartkę papieru włożyłem pod poduszkę i położyłem się spać.

Nazajutrz ledwo tylko się zbudziłem wyciągnąłem kartkę z wierszykiem i czytałem go chyba przez godzinę dokoła. Potem gdy wstałem, ukradkiem przepisałem mój wierszyk na kilku innych arkuszach zeszytowego papieru, poskładałem te arkusiki i wyszedłem na ulicę. W różnych miejscach przed wystawami sklepowymi niepostrzeżenie pozostawiałem moje kartki ma się rozumieć bez podpisu. Po pół godzinie, kiedy wracałem z powrotem do domu, wierszyków moich nie było już na chodniku. Byłem więc pewny, że jacyś ludzie wzięli je i może przeczytali. Pierwszy egzemplarz wierszyka przechowywałem za obrazem pod tekturą. Była to moja pierwsza walka z niesprawiedliwością.

*

Tak się złożyło, że w nowej miejscowości zacząłem dalej uczęszczać do szkoły. Stopnie, jakie otrzymywałem były zadowalające. Szczególnie udawały mi się opracowania literackie. Otrzymywałem również uznanie za dobre rysunki. Raz nawet nauczycielka wzięła mój blok rysunkowy i pokazała moje prace w innych klasach. To podniosło mnie jeszcze bardziej na duchu. Rozpoczął się więc nowy etap mojej nauki. Pisałem też od czasu do czasu wierszyki o przeżyciach, przyrodzie i ważniejszych wydarzeniach w naszej okolicy.

Raz nawet, gdy napisałem wierszyk pod tytułem „Samotna sosna", zdobyłem się na odwagę i pokazałem go nauczycielowi. Nauczyciel przeczytał ów wierszyk, zmarszczył brwi i powiedział: — Jeżeli pójdziesz do wyższych szkół może z tego coś być.

A jeśli nie pójdę do tych wyższych szkół? — zastanowiłem się — co wtedy będzie?

Przecież iść do szkół wyższych niełatwa to sprawa. Trzeba mieć pieniądze. A ojciec dostaje ich niewiele, tyle tylko, że starczy na chleb, kawałek okrasy i lichszy łach... Od tego czasu przez długi okres nie pisałem moich wierszyków. Bo i po co? Tak i tak do wyższych szkół nie pójdę, a bez tego ani rusz. Snułem sobie takie wnioski i coraz częściej zaczynałem zastanawiać się nad przyszłością: od czego zacząć po ukończeniu szkoły, gdzie się udać? Matka przygadywała mi, abym poszedł się uczyć za stolarza lub piekarza.

— Te zawody najmniej kosztują — mówiła — na co innego nas nie stać.

Mnie jednak ani jeden ani drugi zawód nie uśmiechał się. Pragnąłem przecież dalej uczyć się, zdobywać coraz więcej wiedzy, poznawać wszystkie tajemnice świata i prawa ludzkiego życia.

—Nie pójdę ani za piekarza ani za stolarza — sprzeciwiałem się matce. Będę się dalej uczył.

— Chyba przy widłach u bambra albo batem śmigać na folwarku — przycinała matka. — Nie dla ciebie szkoły i gimnazja... Matka mówiła prawdę Nie dla takich jak ja były wyższe szkoły. Mógł do nich iść syn młynarza, córka sklepikarza i dzieci bogatszych bambrów. Pierwszeństwo zaś miały dzieci właścicieli majątków rolnych.. Wobec takiej rzeczywistości stanęła więc moja przyszłość pod znakiem zapytania. Rozmyślając nieraz długie godziny w samotności pytałem się sam siebie: co robić, jaką wybrać drogę? Ale odpowiedzi znaleźć nie mogłem. Postanowiłem jednego razu napisać list do wuja Leona, którego w tym czasie, z braku dowodów oskarżenia wypuszczono z więzienia. — On na pewno mi coś poradzi — myślałem pisząc list.

Na odpowiedź czekałem dwa tygodnie. Wreszcie nadszedł upragniony list. Wuj Leon między innymi pisał tak:

„Życie płynie u nas starym nurtem. W najbliższej przyszłości niczego dobrego nie będzie. Coraz więcej wałęsa się po ulicach bezrobotnych, głód coraz większy. Przez ulicę Królowej Jadwigi trudno przejść, tylu jest żebraków. Sam nie wiem, co na to wszystko mówić. Jedno byłoby tylko wyjście: złapać za broń i zburzyć cały „jaśniepański" ład, jak to uczynili na wschodzie. Ale niestety nie wybiła jeszcze ta godzina. Musimy dalej wytrwale iść poprzez tę niesprawiedliwość, aż nadejdzie dzień zapłaty... Co do nauki, Bolesiu uważam, że powinieneś zacząć jakikolwiek zawód. Jesteś młody, doczekasz się jeszcze innych czasów. Potem pomyślisz, co dalej robić..."

Z boku pod listem figurował dopisek: „Po przeczytaniu proszę spalić!!"

A więc i wujek nie dał mi dokładnej odpowiedzi. Wsunąłem list do kieszeni i wyszedłem na łąkę za dom. Położyłem się na trawie i długo płakałem...

Potem — rozmyślając, cofnąłem się myślą wstecz. Przypomniałem sobie całą naukę, którą zdobyłem w dotychczasowym życiu. Przypomniały mi się też wszystkie rozmowy wujka Leona i ostatni jego list. Nagle w moim chłopięcym umyśle zrodziła się taka oto myśl:

Gdyby tak już teraz, w tej chwili wszyscy ludzie uciskani złapali za broń i przed tym, nim Hitler ruszy na podbój świata wzięli w swoje ręce losy ojczyzny, wtedy naprawdę było by się za co bić, za Polskę robotników i biednych chłopów, za Polskę uczciwych ludzi... Niestety, „gdyby", pozostało tylko tym nic nie znaczącym słowem „gdyby", choć ludzie coraz częściej spoglądali z niepokojem w stronę Wisły na Kwidzyń, gdzie od rana do nocy na drugim brzegu trwały nieprzerwanie ćwiczenia hitlerowskiego Wehrmachtu na lądzie i w powietrzu. Od rana do nocy słychać było, gdzieś z drugiej strony Wisły, bezustanne głuche eksplozje i złowrogie pomruki cekaemów.

Bolesław Lewandowski

Z prasy radzieckiej

O literaturze krajów demokracji ludowej

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

PRASA radziecka z życzliwą uwagą śledzi proces kształtowania się w krajach demokracji ludowej nowej literatury, związanej z walką klasy robotniczej o zbudowanie nowego ustroju. I tak m. in. prasa radziecka spośród pozycji polskich omówiła reportaże nadesłane na konkurs ogłoszony przez „Wieś", zrecenzowała powieści J. Gałaja „Mystkowice" i „Rodzinę Lebiodów". A. Olchy „Most nad urwiskiem", reportaże W. Zalewskiego „Traktory zdobędą wiosnę". Omówiła „Stare i nowe" L. Rudnickiego, „Fundamenty" J. Pytlakowskiego. Wiele miejsca poświęciła nagrodom państwowym za rok 1950, szczegółowo roztrząsając zalety i niedociągnięcia utworów Wilczaka, Hamery, Kowalewskiego i Konwickiego.

Obecnie, zamykając bilans osiągnięć literackich za rok 1951, „Litieraturnaja Gazieta" w artykule T. Motylowej stwierdza, że sukcesy budownictwa socjalistycznego znajdują w literaturze krajów demokracji ludowej coraz pełniejszy wyraz. T. Motylowa pisze: „Wyróżniającą cechą utworów o współczesnej rzeczywistości jest to, że pisarze dążą do bardziej żywego wyrażania uczuć ludzkich i przeżyć. Pisarze pragną stworzyć bardziej treściwe i głębokie postacie nowych ludzi". Towarzyszy temu zapoczątkowana walka ze schematyzmem i bitwa o wysoką jakość artystyczną. Doskonalszej literatury żądają i krytycy i czytelnicy.

Zjawiska te — mówi T. Motylowa — świadczą o ideowym wzroście i konsolidacji sił literackich. Pisarze odeszli dawno od przebrzmiałych sporów na temat ideowego stanowiska literatury. „Dwa, trzy lata temu trzeba było jeszcze tłumaczyć i przekonywać o konieczności aktywnego uczestnictwa literatury w życiu, trzeba było nawoływać do aktualnej tematyki. Obecnie te prawdy zostały przyjęte i zrozumiane przez większość pisarzy. Właśnie dlatego wyłania się problem artystycznej jakości, oddania pełni i głębi życia".

Krytyk radziecki uważa, że literatura polska w ciągu ostatniego roku zrobiła duży krok naprzód. Potrafiła uchwycić proces powstawania nowego życia i odtworzyć obrazy ludzi, budowniczych socjalizmu. „Wśród nowych książek zasługuje na uwagę książka Mariana Brandysa „Początek opowieści" (...) Nowość tej książki wśród innych utworów polskich o współczesnej tematyce polega na tym, że tutaj po raz pierwszy widzimy nie tylko proces socjalistycznego budownictwa, ale i pierwsze dające się wyraźnie zauważyć realne osiągnięcia".

T. Motylowa z uznaniem pisze o zaletach powieści, przede wszystkim o typowym przedstawieniu losów młodzieży dojrzewającej w warunkach socjalistycznego budownictwa. Są też i minusy: książka Mariana Brandysa posiada fragmenty, zdradzające pośpiech. Duży brak książki tkwi w tym, że autor „słabo pokazał, jak partia kieruje młodzieżą". Ale — stwierdza w końcu T. Motylowa — książka przyciąga przez świeżość, nowość życiowego materiału, optymistyczny ton, a najważniejsze przez to, że pokazuje na żywych przykładach, jakie zmiany pociąga za sobą budownictwo socjalizmu w moralnym, wewnętrznym życiu ludzi".

Przechodząc do literatury innych krajów demokracji ludowej, „Litieraturnaja Gazieta" odnotowuje sukces pisarzy czeskich, bułgarskich i rumuńskich, przedstawiających „bohaterstwo wyzwolonej pracy". J. Marek napisał „Opowiadania o górnikach", A. Bernaszkowa wydała powieść pt. „Otwarta droga" W. Rzezacz dał nową powieść pt. „Ofensywa", S. Daskałow opublikował książkę pt. „Odznaczony orderem", wreszcie spod pióra P. Dumitriu wyszła powieść pod tytułem „Droga bez kurzu".

Więcej uwagi poświęcono Rzezaczowi i Dumitriu. „Ofensywa" Wacława Rzezacza to „jedno z większych wydarzeń w obecnym życiu literackim ludowo - demokratycznej Czechosłowacji". Odznaczona nagrodą państwową pierwszego stopnia powieść Rzezacza ukazuje przełomowe dni wyzwolenia, krzepnącą przyjaźń czesko - radziecką i kierowniczą rolę partii w budowaniu nowego ustroju.

„Droga bez kurzu" pisarza rumuńskiego P. Dumitriu opowiada o budowie kanału Dunaj — Morze Czarne i przedstawia postacie bohaterów-budowniczych wielkiego dzieła. „Mamy do czynienia z dziełem o wielkim epickim rozmachu, obrazującym życie najrozmaitszych ludzi". Romantyzm rewolucyjny pisarza łączy budowę nowego życia na terenach, przez które przebiega kanał, z ideałami socjalistycznego humanizmu, z perspektywami ludzkiego szczęścia.

NAD CZYM PRACUJĄ RADZIECCY PISARZE?

„LITIERATURNAJA Gazieta" w nr 2 i 3 z bieżącego roku w rubrykach pt. „Twórcze plany pisarzy" zaznajamia czytelników z projektowanymi książkami ulubionych autorów.

Autor „Brusków" T. PANFIEROW pisze: „W naszym kraju samo życie daje najbogatszy materiał dla pisarzy, wysuwając nadzwyczajne tematy o historycznym znaczeniu. Jednym z takich tematów jest przeobrażenie przyrody (...) W ciągu dwudziestu pięciu lat badam sposoby i metody walki z wpływami środkowo-azjatyckiej pustyni na stepy nadwołżańskie; w ciągu ostatnich dwóch lat wyjeżdżam na tereny przy południowym biegu Wołgi, przez dłuższy czas mieszkam tam i obserwuję wszystko, co czyni lud w walce ze złymi siłami przyrody. Piszę powieść „Rzeka mateczka Wołga". Ten temat jest bardzo ciekawy, ale zarazem niezmiernie złożony i trudny. Chciałbym zakończyć w tym roku pierwszą część powieści pt. „Wielka Wołga". Myślę, że mi się to uda".

ANATOL SUROW, autor sztuk dramatycznych m. in. „Zielonej ulicy" i „Świtu nad Moskwą" przygotowuje do druku zbiór artykułów publicystycznych pt. „Słowo o pracy i pokoju". Napisał sztukę o tematyce pokojowej pt. „Moskwa 1941". Opracowuje dla sceny temat z zakresu współzawodnictwa pracy i walki o pokój radzieckich metalowców.

Parokrotny laureat SAMUEL MARSZAK pisze wierszem powieść autobiograficzną, pracuje nad udramatyzowaną bajką i nowymi wierszami dla dzieci. Tłumaczy z literatury obcej m. in. poezje Petöfiego i Heinego. Znany poeta młodzieżowy i autor popularnych pieśni LEW OSZANIN ma na warsztacie twórczym zbiór wierszy. pt. „Stalingrad - Berlin". Mają to być wiersze o wielkim budownictwie nad Wołgą i wrażenia (w poetyckiej formie) z III wszechświatowego Festiwalu młodzieży w Berlinie.

A. PIERWENCEW pisze scenariusz o wyzwoleńczych walkach Bułgarii z lat 1877 — 1878, przygotowuje powieść o inteligencji technicznej, pracuje dla sceny, ma na ukończeniu sztukę o tematyce pokojowej pt. „Królowa Europy".

Znany badacz literatury i krytyk BORYS MEJŁACH uczestniczy w kolektywie badawczo - literackim radzieckiej Akademii Nauk. Napisał pracę o poglądach na literaturę Lenina i Stalina. Praca ta wejdzie do dziesiątego tomu „Historii literatury rosyjskiej". W roku ub. Mejłach brał udział w pracach wstępnych w związku z powstającą „Encyklopedią Puszkinowską". Obecnie przystępuje do prac kolektywnych, których rezultatem będzie wielkie dzieło o zagadnieniach rosyjskiego języka literackiego w świetle prac Stalina o językoznawstwie.

Autor powieści „Gorące źródła" oraz „Z całego serca" ELIZAR MALCEW po dwuletnim okresie zbierania materiałów pisze powieść o ludziach partii, wysuwając zagadnienie kierownictwa partyjnego w kolektywie pracowniczym.

MARIETTA ALIGER zamierza opublikować cykl wierszy lirycznych o budowie Uniwersytetu Moskiewskiego.

MIKOŁAJ WIRTA napisał jak gdyby dalszy ciąg „Spisku bankrutów", sztukę pt. „W trzy lata później". Pracuje nad powieścią „Huragan", przedstawiającą walkę Lenina o partię marksistowską nowego typu. Akcja rozgrywa się w okresie II zjazdu SDPRR.

Grzegorz Timofiejew

„W Korei — twój dom"

(Dokończenie ze str. 3-ej)

w Bułgarii i w Albanii. Atakuje wykonaniem planu 2-letniego w NRD w półtora roku i przekroczeniem o 36% produkcji przedwojennej w pierwszym roku pierwszej pięciolatki.

Atakuje walką ludu Thoreza i Togliattiego. Usuwa grunt spod nóg imperializmu w Tunisie i Marokko i w Egipcie, we wszystkich krajach arabskich. Budzi z uśpienia czarną Afrykę. Jest na Madagaskarze. Jest w Iranie. Płomień rośnie w wielkich Indiach. Goreje na Malajach, na Filipinach, w Vietnamie.

Zaciska się wokół maleczników zbrodniarzy imperialistycznych. Pękają raz po raz nienasycone arterie imperializmu. W miejsce starych kolonizatorów wchodzi nowy, bardziej bezwzględny, bardziej krwiożerczy. Wchodzi jednak za późno. Już ziemia wszędzie płonie, gdziekolwiek Wall Street postawić pragnie swoją grabieżczą stopę.

„Naszym zadaniem jest zaprowadzić na świecie pokój amerykański" woła senator Willouguby. Ten pokój amerykański — to pokój cmentarzysk, opuszczonych ruin. Ten „pax americana" — to zapowiedź mordów, terroru, zgliszcz, ruin, epidemii. Ani władcy z Wall Street, ani bakterie zrzucane dziś na Koreę nie spadły z Marsa czy z księżyca. Władców Wall Street, krwawych bezwzględnych grabieżców ziemi i ludzi, zrodził ustrój wyzysku i ucisku. Wojnę bakteriologiczną zrodził imperializm.

„Śmiercionośne bakcyle, rozrzucane dziś nad Koreą i Chinami jutro mogą znaleźć się w gęsto zaludnionych Indiach, w krajach Bliskiego Wschodu, w Europie. Czy chcecie, aby dżuma i cholera nawiedziła Wasz dom, zabiła Wasze dzieci, wszystko, co macie najdroższego?".

Jest siła, która potrafi powstrzymać krwawe ręce morderców jeszcze tam, w Korei. Tą siłą jest niezłomna wiara w słuszność sprawy, która krzepi i umacnia bohaterskich ludzi Korei. Tej sile na imię: miliard gorących serc i twardych rąk.

Człowiek — to wielkie słowo. Miliard świadomych bojowników o prawa człowieka do życia, wolności i pokoju — to więcej, to bez porównania więcej niż garstka podpalaczy świata nawet z miliardami dolarów. Ten miliard bojowników nie ulęknie się ani szantażów, ani bakteriologicznych pocisków. Złamie szantażystów, zmiecie ustrój, który ich zrodził. Umęczona Korea będzie żyła. Będzie Krajem Porannej Świeżości. Będzie żyła ludzkość, bo potrafiła już na wielkich przestrzeniach świata ująć sprawę przyszłości w swoje ręce i potrafi doprowadzić ją do zwycięskiego końca.

Tadeusz Orlewicz

WOJCIECH ŚCIBOR

O POMOCY SĄSIEDZKIEJ

UJAWNIANIE i wykorzystanie ukrytych rezerw w rolnictwie dla podniesienia poziomu produkcji rolnej i przyśpieszenia rozwoju rolnictwa w Polsce stawia ogromne zadania przed terenowymi, zwłaszcza gminnymi i powiatowymi Radami Narodowymi.

Cała ta bowiem akcja wymaga zarówno wielkiej inicjatywy i pomysłowości ze strony poszczególnych rolników, jak i zabezpieczenia przez Rady Narodowe niezbędnego dla wykorzystania tych rezerw poziomu sił wytwórczych oraz siły roboczej (ludzkiej, zwierzęcej i mechanicznej) w drobnych i średnich gospodarstwach chłopskich. Bo tej drugiej sprawy nie są w stanie rozwiązać we własnym zakresie, bez pomocy władzy ludowej, poszczególne drobne i średnie gospodarstwa chłopskie.

Gospodarstwa te bowiem wyszły z okresu kapitalizmu okaleczone w swych możliwościach produkcyjnych i smutne pozostałości tamtego okresu wloką się jeszcze za nimi.

Wystarczy przypomnieć, że przed wojną ok. 1600 tysięcy gospodarstw karłowatych i drobnych nie posiadało wcale koni (podczas gdy z gospodarstw kułackich ok. 100 tysięcy posiadało po 3 i więcej koni), że przeciętnie na 100 gospodarstw do 2 ha było 13 wozów, 11 pługów i bron zwykłych, a ani jednego siewnika, młocarni, czy snopowiązałki, że jeśli chodzi o męską (decydującą w drobnotowarowej gospodarce) siłę roboczą, to na 100 gospodarstw do 2 ha tylko ok. 14 gospodarstw dysponowało siłą roboczą 2 i więcej mężczyzn w sile wieku, podczas gdy w gospod. od 2 do 5 ha już 24 gospodarstwa, w gospod. od 5 do 10 ha — 32 gospodarstwa, a w gospod. od 10 do 15 ha było takich gospodarstw, które posiadały po 2 i więcej mężczyzn w sile wieku blisko połowa ich ogólnej liczby.

Wprawdzie w okresie blisko 8 lat istnienia władzy ludowej zaszły ogromne, nieporównywalne wprost do stanu przedwojennego przemiany w zaopatrzeniu drobnych i średnich gospodarstw chłopskich w środki produkcji, samo tylko np. zaopatrzenie w maszyny rolnicze wzrosło przeszło ośmiokrotnie, ale ogromnie zaostrzyła się sytuacja odnośnie siły roboczej. Ten brak siły roboczej nie jest **bezwzględny** (bo w warunkach bowiem uspołecznionej gospodarki rolnej mogłoby się w naszym kraju utrzymywać z pracy w zawodach rolniczych ok. 8 milionów ludzi dostarczając żywności dla 17 mil. ludności pozarolniczej), ale względny, wynikający z faktu, że indywidualna drobna gospodarka chłopska wymaga dla osiągnięcia tych samych wyników produkcyjnych, znacznie większych kosztów materialnych i nakładu siły roboczej, co gospodarka socjalistyczna w rolnictwie.

Zadania produkcyjne, jakie dziś stoją przed drobnymi i średnimi gospodarstwami chłopskimi są o wiele wyższe, niż przed wojną. Wśród tych zadań jest wiele bardzo pracochłonnych (w warunkach drobnotowarowej gospodarki) zadań, jak np. uprawa buraków cukrowych czy lnu, hodowla trzody chlewnej itp.

A tymczasem jeśli przed wojną na 100 ha w gosp. do 2 ha wypadało ok. 2,3 ludności rolniczej, to w roku 1950 liczba ta spadła do 1,2, w gospodarstwach od 2 do 5 ha liczba ludności rolniczej na 100 ha spadła z 2,2 na 0,8, w gospodarstwach zaś od 5 do 14 ha spadła z ok. 0,5 na 0,4 ludzi na 100 ha użytków rolnych.

W znacznej części gospodarstw małorolnych, a także niekiedy w gospodarstwach średnich (gdzie ktoś z dorosłych członków rodziny dorabia w przemyśle), takie normalne zjawiska jak powołanie dorosłego syna do służby wojskowej, czy do SP, wywołuje ogromne komplikacje produkcyjne znajdujące odźwięk w licznych listach nadsyłanych do redakcji.

Weźmy również pod uwagę specjalnie napiętą sytuację, odnośnie siły roboczej na terenach odzyskanych, gdzie z reguły osiedlali się rolnicy młodzi, nie posiadający jeszcze dziś dorosłych dzieci, które by im w mniejszym lub większym zakresie dopomagały w gospodarstwie.

Rzecz jasna, nie wolno dopuszczać do tego, aby taki niesłychanie korzystny dla wsi i całego gospodarstwa narodowego fakt, jak stały odpływ ludności wiejskiej do zawodów pozarolniczych, jak służba wojskowa, będąca podstawowym i zaszczytnym obowiązkiem każdego dorosłego mężczyzny, jak służba w SP, tak ogromnie rozszerzająca perspektywy rozwoju i horyzonty myślowe młodzieży wiejskiej itp. — pociągały za sobą trudności w rozszerzaniu produkcji rolnej, w intensyfikacji rolnictwa przechodzącego od prymitywu (żyto, ziemniaki jako podstawa gospodarstwa) do wyższego poziomu (rośliny przemysłowe, rozwinięta hodowla itp).

Rysujące się w związku z tym tu i ówdzie konflikty nie mają charakteru antagonistycznego, dadzą się bowiem znakomicie rozwiązać przez upowszechnienie gospodarki zespołowej w rolnictwie, gdzie ogromnie spada zapotrzebowanie na 1 ha ludzkiej i sprzężajnej siły roboczej.

Wymownym przykładem jak ogromne rezerwy siły roboczej zwalniają się w gospodarce socjalistycznej jest gospodarka ZSRR, gdzie przy stałym wzroście produkcji przemysłowej i rolnej oraz usług materialnych (transport) i niematerialnych (oświata, nauka, kultura i ochrona zdrowia), można skierować dużą część sił roboczych na wielkie budowle komunizmu, na stworzenie nowej ekonomiczno - technicznej bazy dla społeczeństwa komunistycznego.

Ale dbając o dalszy rozwój spółdzielczości produkcyjnej, jako tej drogi, która doprowadzi do całkowitego pokonania obecnie jeszcze występujących trudności, Rady Narodowe powinny wykorzystać w całej pełni dla złagodzenia tych trudności w drobnotowarowej gospodarce chłopskiej wspaniały instrument w postaci **pomocy sąsiedzkiej.**

Doniosłość ustawy o pomocy sąsiedzkiej polega na tym, że pozwala ona na planowe, zgodne z klasowymi interesami pracującego chłopstwa, wyrównywanie niedoboru sprzężaju, maszyn rolniczych, a także siły roboczej w poszczególnych, zwłaszcza drobnych, a niekiedy nawet i średnich gospodarstwach chłopskich.

A tymczasem w latach ubiegłych na terenie wielu gromad i gmin, niewątpliwie pod wpływem nacisku kułackiego, albo zaniedbano pomoc sąsiedzką, albo niesłusznie zwężono ją tylko do wypadków losowych, gdy np. do wojska szedł jedynak, pozostawiając starych i nie bardzo już zdolnych do pracy rodziców, gdy na gospodarstwie po śmierci męża została wdowa z kilkorgiem dzieci itp.

Pomoc sąsiedzka powinna być opracowana na o wiele szerszej podstawie, opierać się o analizę całego planu produkcyjnego gromady i gminy ze specjalnym naciskiem na stały wzrost obszaru roślin przemysłowych na stały wzrost wydajności z ha, pogłowia i wydajności inwentarza żywego, na stałą poprawę budownictwa wiejskiego, zwłaszcza produkcyjnego, na stałe usprawnianie wewnętrznego wiejskiego transportu płodów rolniczych, nawozów sztucznych, węgla itp.

Ale przede wszystkim należy w r. bież. ogarnąć pomocą sąsiedzką te setki dziś tysięcy drobnych gospodarstw chłopskich, zwłaszcza w woj. krakowskim, kieleckim, rzeszowskim itp., z których to gospodarstw wiele sił roboczych odpłynęło do wielkich budowli socjalizmu, do przemysłu, transportu itp. Trzeba pomóc żonom, dzieciom i starszym rodzicom tych nowych robotników w doprowadzeniu ich gospodastwa do kwitnącego stanu, wysokiego poziomu produkcji i wyższej towarowości.

Stosowanie pomocy sąsiedzkiej wymaga od jej organizatorów i kontrolerów wielkiej wnikliwości w potrzeby produkcyjne poszczególnych gospodarstw, dokładnego zbadania, jakiego rodzaju pomoc należy zastosować, aby to gospodarstwo dało w r 1952 jego posiadaczowi i całemu krajowi więcej mięsa, więcej surowców przemysłowych, wyższe plony z ha. Wymaga społecznego, gromadzkiego rozpracowania całego planu pomocy sąsiedzkiej, zawsze na tle analizy podwyższonych, w stosunku do roku zeszłego, zadań produkcyjnych danej gromady i gminy.

Właściwie, szeroko zakrojona pomoc sąsiedzka, nie zwężona do filantropii i opieki społecznej, staje się jednym z najlepszych mostów prowadzących do spółdzielczości produkcyjnych, umacnia bowiem zaufanie gromady we własne siły i w pomoc władzy ludowej, utwierdza przekonanie o wyższości społecznego, kolektywnego działania, mobilizuje masy pracującego chłopstwa do stałego i szybkiego podnoszenia globalnej i towarowej produkcji rolnej w interesie wsi i całego kraju. A oto przecież chodzi.

Wojciech Ścibor

WOJCIECH DRYGAS

Wybiorą chłopi

KIEROWNIK kopalni torfu. Czy wiecie, że taki kierownik musi być dosłownie chodzącą encyklopedią? Bo oprócz wszechstronnej znajomości sposobów wydobywania torfu — powinien posiąść co najmniej elementarną znajomość miernictwa, liznąć trochę geologii, być rutynowanym gleboznawcą, znać się na prawie, planistyce i buchalterii; musi mieć końskie zdrowie, szczególne zamiłowanie ruchu i poznać do korzeni miejscowe zwyczaje. Jak znaleźć tyle cennych przymiotów w jednym człowieku?

Można więc sobie wyobrazić straszliwy kłopot, jakiego pastwą stała się gminna spółdzielnia w Szymonkach. Jedyna w okolicy kopalnia torfu stała odłogiem z powodu braku sprężystego kierownictwa. Nie było w tym smutnym fakcie ani krzty winy ze strony zarządu spółdzielni. Zarząd czynił wszystko co było w jego mocy, aby trafić szczęśliwie na odpowiedniego kandydata. Lecz — nie owijajmy w bawełnę — kandydaci na tak eksponowane stanowisko nie rodzą się w korcu maku.

Bo weźmy dla przykładu prezesa gminnej spółdzielni Kalinkę: człowieka mądrego, człowieka ze wszechmiar rozsądnego. Mógłby z powodzeniem pełnić dodatkową funkcję kierownika kopalni, bo w torfiarstwie grzebał się od dziecka, był wtajemniczony w arkana wiedzy mierniczej, a o miejscowych zwyczajach — kiedy pociągnąłeś go za język — potrafił gadać całymi godzinami. Cóż z tego, kiedy geologia i planistyka stanowiły białą plamę na jego wykształceniu ogólnym, a co gorsze, od kilku lat miewał periodycznie bolesne ataki wątrobiane.

— Dostaniecie z zimna kolek, prezesie — kręcił współczująco głową jego zastępca Domagała — i pokręci was, o tak... — demonstrował plastycznie przy pomocy rąk i nóg. — Chcecie się wybrać na tamten świat, osierocić żonkę, dziateczki? Chcecie?

Rzecz oczywista, prezes nie miał zamiaru umierać w kwiecie wieku. Z tych więc względów kandydatura jego upadła.

Powzięto słuszną myśl, aby kierownictwo kopalni objął nie kto inny, tylko sam wiceprezes Domagała. Chłop jak dąb, szeroki w barach, bez nałogów — da sobie radę. Był specem od prawa, które poznał od strony praktycznej, procesując się z macochą przez lat dwanaście o krowę, która w międzyczasie zdechła. Nadto, jak sam utrzymywał, geologię miał w małym palcu, nie mówiąc o buchalterii, której uczył się ponoć przy głównym księgowym. Wszystkim się zdawało, że Domagała już siedzi na kierowniczym stolcu i nikt go stamtąd nie potrafi zdmuchnąć, kiedy sekretarz zarządu Zięba ni-stąd ni-zowąd wygłupił się niedyskretnym zapytaniem:

— A czy szanowny kolega zna się choć trochę na torfiarstwie?

Okazało się, że wiceprezes właśnie w tej dziedzinie był kompletnym analfabetą. Wszyscy posmutnieli, a najwięcej Domagała, który w międzyczasie zdołał już obliczyć plus minus wysokość nowej pensji.

Nie pozostawało nic innego, tylko zgodzić się na wybór sekretarza Zięby, znawcy miernictwa i geologii, oczytanego w kodeksie karnym, wspaniałego planisty i buchaltera w jednej osobie, dla którego torfiarstwo było „betką z masłem".

Ale radość sekretarza trwała nie dłużej niż minutę, tyle bowiem czasu potrzebował członek zarządu Płotek, aby spod pieca kontrować:

— Gdzież panu sekretarzowi będzie w głowie spędzać miodowe miesiące na torfowisku? Przecież się żeni i jedzie na urlop. A tu produkcja całą parą — sami panowie rozumiecie, nie można...

Nie można było także obarczać stanowiskiem członka zarządu Płotka, który znał się tylko na brakarstwie skór surowych i od biedy potrafił naprawić motocykl spółdzielczy. Decyzję tę Płotek uznał za wysoce krzywdzącą, toteż od tego momentu przestał nadskakiwać prezesowi, uśmiechać się słodko do wiceprezesa i kłaniać się narzeczonej sekretarza Zięby. Nie zmieniło to w niczym ciężkiej nad wyraz sytuacji gminnej spółdzielni.

Wreszcie, gdy zdawało się, że kopalnia torfu porośnie trawką, zarząd spółdzielni wpadł na genialną myśl: dokonajmy wyboru kierownika przez losowanie — było nie było... Szczęśliwy traf padł na referenta od planowania Zuberka Na takie nadspodziewane zrządzenie losu prezes Kalinka skrzywił się:

— Ja w takim razie umywam ręce...

— Mnie to ani ziębi, ani parzy... — ryknął z góry wysoki jak dąb wiceprezes Domagała.

— Nie mieszam się do tych spraw... — zauważył pogardliwie sekretarz Zięba. A członek zarządu Płotek nic nie powiedział, jeno westchnął głęboko:

— Przyjdzie kryska na Matyskał

Po czym wszyscy czterej odsunęli się od referenta Zuberka, jakby dalsze losy kopalni torfu nic już ich nie obchodziły.

W miesiąc później, przy obliczaniu bilansu, smutne jak krepa cyfry wykazały całkowity deficyt gospodarki torfiarskiej. Kierownik Zuberek spłakał się jak dziecko i podał się do dymisji!

— A nie mówiłem, że tak będzie? — wił się ze śmiechu prezes.

— Sam się pchał do tej roboty... — przypomniał jego zastępca.

— Będzie teraz leżał jak neptek... — zacierał ręce sekretarz.

A członek zarządu Płotek wzdychał:

— Niebo mnie wysłuchało!

Zamieniwszy ze sobą tyle ważkich uwag, zarząd doznał wrażenia, że czas najwyższy wybrać spośród siebie następcę Zuberka. Tym razem postanowiono jednomyślnie nie prowadzić żadnych kłótni, unikać ostrej wymiany zdań i raz jeszcze przedyskutować każdą kandydaturę z osobna. Kiedy już doszli do Płotka i nic nie wróżyło końca wyborów, w drzwiach gabinetu pojawił się niespodzianie miejscowy sołtys, który tajemniczymi znakami wywołał prezesa Kalinkę.

Upłynęła dłuższa chwili, zanim Kalinka wpadł z powrotem jak bomba do gabinetu z tragicznym okrzykiem:

— Jesteśmy rozwiązani, panowie, chłopi nas rozwiązali...

Zacna kompania poderwała się z wygodnych foteli.

— Jak to rozwiązali?

— O, tak... pokazał prezes, unosząc wysoko nogę, jakby z zamiarem wymierzenia komuś potężnego kopniaka.

Gminna Rada kontroli i komitet członkowski dość miały takiej gospodarki i zwróciły się do Centrali Rolniczej o przeprowadzenie nowych wyborów. Termin ich wyznaczono na 10 marca rb.

Wojciech Drygas

JAN DANECKI

Pytania bez odpowiedzi

WRAZ z gospodarczym krzepnięciem dawnych spółdzielni i powstawaniem nowych, wzrasta wokół nich wspaniała, twórcza ciekawość — zwiastunka narastającego przełomu. Doceniać winni ją przede wszystkim ci, którzy ją zaspakajają — nasi korespondenci — członkowie spółdzielni produkcyjnych. A bywa często, weźmiesz do ręki list ze spółdzielni, czytasz, czytasz, i w najciekawszym miejscu... list się urywa.

Piszą oto spółdzielcy z Tworzyjanowa: „pięknie nam się obrodziła pszenica; 32 q zebraliśmy z ha — 2 razy więcej, niż gospodarze indywidualni z tej samej gromady".

16 q różnicy! Wielka to rzecz — dziś, gdy bijemy się o każdy q z ha! I dlatego chciało by się od razu zapytać: czemu to zawdzięczają tworzyjanowscy spółdzielcy takie wysokie plony? Jakie metody uprawy zastosowali? Czy korzystali z fachowej prasy i książek rolniczych i w jaki sposób? Jak zorganizowali robotę w polu? Ważne pytania — źle jest, gdy pozostają bez odpowiedzi. Bez niej można spółdzielców jedynie podziwiać, z nią razem — także się od nich uczyć.

Albo taka wiadomość: w powiecie wolińskim spółdzielnie b. słabo zajmowały się dotychczas hodowlą. A przecież — pisze korespondent — „w każdej spółdzielni, w której jest dobrze postawiona hodowla, dniówka obrachunkowa będzie wysoka". To jest oczywiście prawda — dobrze rozwinięta hodowla jest gwarancją wysokiego dochodu spółdzielni. Dlaczego więc nie rozwinęły jej wolińskie spółdzielnie — zwłaszcza, że mają po temu doskonałe warunki paszowe? Czyżby nie były jeszcze w stanie inwestować w produkcję zwierzęcą? A może pokutuje tam jeszcze fałszywa praktyka hodowli wyłącznie na działkach przyzagrodowych z uszczerbkiem dla hodowli spółdzielczej? W jakim stopniu włączyły się do robót kobiety? — Bo wiadomo przecież, że od nich w głównej mierze zależy hodowla.

W tym samym liście znajdujemy zestawienie wysokości dniówek, jakie osiągnęły za rok 1951 poszczególne spółdzielnie. Obok dniówek przeciętnych: 16 zł, 16,3 zł, 17 zł., 22 zł., uderza tutaj pozycja 41 zł. dla spółdzielni w Domysłowie. 41 zł.! Takiej dniówki bez zespołowej hodowli osiągnąć nie można A zatem jest już w powiecie spółdzielnia, która rozwinęła gospodarkę zwierzęcą i są już wyniki tej gospodarki Dlaczego zatem, drogi korespondencie, o tym nie piszecie? Sami się nie uczycie i czytelnika pozostawiacie bez odpowiedzi.

W początkowym okresie kobiety nie chciały wychodzić do pracy. Tak było np. w Wanorzu, tak było w Starym Lesie. Dzisiaj w obu spółdzielniach — piszą korespondenci — te czasy należą już do przeszłości. W Starym Lesie „nawet tak sceptycznie nastawione do spółdzielni, jak Maria Gąsiorkowa, Maria Duszyńska i Genowefa Wiewióra zerwały definitywnie z uprzedzeniem do pracy zespołowej".

Ale dlaczego zerwały? Co pobudziło kobiety do pracy spółdzielczej i jak to się stało? W jaki sposób wytwarzał się i umacniał spółdzielczy aktyw kobiecy? O tych doświadczeniach — tak cennych dla młodych spółdzielni — w listach nie ma już ani słowa.

Korespondent z Wonorza wspomina np., że jest w spółdzielni Koło Gospodyń Wiejskich. Jakże było by ciekawe i pouczające, gdyby opowiedział o dziejach tego Koła o jego pracy, o jego udziale w aktywizacji kobiet spółdzielczych.

Piękne wyniki ma już spółdzielnia w Roszkowie: zboża więcej o 4—7 q z ha, nowa świniarnia na 160 sztuk trzody, wyremontowane wszystkie domy mieszkalne. A mimo to — piszą spółdzielcy — jeszcze nie wszyscy członkowie doceniają spółdzielnię.

Dlaczego? Może zostały źle obliczone dniówki i część spółdzielców czuje się pokrzywdzona? Może zaniedbano jakieś ważne potrzeby członków? A może wślizgnął się do zespołu wróg, który podburza, ryje, sieje niezgodę i niezadowolenie? Różne myśli snują się nam po głowie.

Wiele, bardzo wiele tego rodzaju pytań trzeba by zadać, aby dowiedzieć się pełnej, żywej prawdy o naszych spółdzielniach? Stawiamy je my — czytelnicy — ale stawiajcie sobie również i wy, obywatele korespondenci — i starajcie się zawsze dawać na nie odpowiedzi. Bo tylko wtedy zostanie wydobyte na światło dzienne to, co jest najciekawsze i najważniejsze w doświadczeniach spółdzielców. I tylko wtedy będziecie zaspakajać rosnącą ciekawość setek tysięcy chłopów — nową już w swojej treści, gospodarską i żądną wiedzy ciekawość roku przełomu.

Jan Danecki

Literatura dokumentalna o spółdzielniach produkcyjnych

(Dokończenie ze str. 5)

członków w życiu zbiorowym, w kierowaniu kołchozem, udział w życiu politycznym, rola i organizacje młodzieży itp. Punkt następny: Stosunki klasowe w danej wsi. Dalej: stosunki między członkami, stosunek do starszych, rola starców, stosunek do dzieci i młodocianych, stosunki sąsiedzkie, przyjaźni itp. Stosunki między narodowościami. Stosunki prawne: własność, stosunek do własności wspólnej, poglądy na stosunek do własności prywatnej; zmiany w porównaniu z przeszłością; prawo obyczajowe teraz i w przeszłości. Wyczerpująco traktuje program sprawy życia rodzinnego, a więc liczebności rodzin, ich gospodarki, stosunków własności w rodzinie, stosunków wewnątrz rodziny teraz i w przeszłości; szczególnie zwraca uwagę na zawieranie małżeństw, stosunki między małżonkami, między rodzicami i dziećmi, stosunki w szerszym kręgu krewnych — rzutowane na tło stosunków w przeszłości przedrewolucyjnej. Osobny punkt to wychowanie dzieci obecnie i w przeszłości. Osobno omówiono także położenie kobiet. Cały ten dział trzeci, szczegółowo opracowany, nastawiony jest na uchwycenie prawidłowości rozwoju nowych form i stosunków życia społecznego.

Dział czwarty — poświęcony obyczajom ludowym, rozpoczyna się od ceremonii towarzyszących ważnym zdarzeniom w życiu człowieka i rodziny, przy czym nacisk położono na uchycenie zmian jakie zaszły w porównaniu z przeszłością. Osobno zwraca się uwagę na utrwalenie w opisie dawnych zwyczajów i wierzeń związanych z domem, wsią i gospodarstwem. Święta i uroczystości rewolucyjne, ludowe i rodzinne. Przeżytki wierzeń religijnych.

Wreszcie dział ostatni daje program opisu oświaty (szkoły, świetlice, biblioteki, czytelnie, sport, praca polityczna, opieka lekarska; umiejętności ludowe i twórczość ludowa: bajki, legendy, pieśni, tańce, zdobnictwo, architektura, grafika).

Program Worobiewa jest niezwykle szczegółową instrukcją sporządzenia opisu wszechstronnego, dającego pogląd na wszystkie dziedziny życia kołchozu, na tle przemian jakie zaszły w tym życiu w porównaniu z życiem wsi nieskolektywizowanej. Trzeba również podkreślić, że jest to schemat opisu sporządzony z punktu widzenia potrzeb naukowych etnografii.

W opisach polskiej spółdzielczości trzeba uwzględniać szerzej pewne momenty, które są już nieistotne w opisach kołchozów radzieckich. A więc trzeba szerzej i szczegółowiej potraktować sam proces organizowania spółdzielni. Proces ten może być zrozumiały tylko na tle opisu wsi przed założeniem spółdzielni. Dlatego w opisach spółdzielni produkcyjnych trzeba zwrócić uwagę na następujące sprawy:

Opis wsi przed założeniem spółdzielni: położenie, struktura zawodowa ludności, struktura rolna i społeczna, poziom gospodarki rolnej, komunikacja, poziom kulturalny, instytucje oświatowe, tradycje polityczne itd.

Proces zakładania spółdzielni: rola poszczególnych warstw wiejskich, rola czynników politycznych i rządowych, tworzenie się aktywu miejscowego, przebieg akcji agitacyjnej, przestrzeganie linii partii, przebieg organizowania spółdzielni. Zwrócić trzeba uwagę kto wszedł do spółdzielni, jaka jest struktura społeczna spółdzielni w chwili założenia. Szczególnie należy zwrócić uwagę na stosunek spółdzielni do pozostałych wsi, układanie się tego stosunku i zachodzące w nim zmiany.

W dalszym opisie można korzystać ze wskazówek zawartych w programie Worobiewa. Pamiętać jednak trzeba, że w różnych spółdzielniach wysuwają się na plan pierwszy różne sprawy. Trzeba więc dążyć do tego, aby wydobyć w opisie to co jest dla danej spółdzielni charakterystyczne. W ten sposób polityk i naukowiec będzie miał do rozporządzenia długi szereg opisów, opisów nie podciągniętych pod jeden schemat, lecz wskazujących indywidualne zagadnienia występujące w poszczególnych spółdzielniach. Będzie mógł wytworzyć sobie obraz całości i różnorodności problematyki, którą życie przynosi, będzie mógł zatem zdać sprawę z całej różnorodności trudności, i uogólniwszy te opisy dojść do ustalenia zjawisk typowych, ustalenia prawidłowości pozwalających na dojrzałą decyzję właściwego kierowania i planowania.

Jan Szczepański

KRONIKA KULTURALNA

Świetlica w Cichoradzu (pow. Toruń woj. bydgoskie) — z siedzibą w poobszarniczym dworku — szczyci się wzorowym zespołem tanecznym, który skupia młodzież ze wsi i PGR-u. Zespół ćwiczy tańce ludowe, szczególnie kaszubskie, oraz tańce radzieckie, korzystając z usług własnej 7-mio osobowej orkiestry. Zespół chóralny wykonuje pieśni masowe, ludowe, radzieckie i czeskie. Recytacje i inscenizacje organizuje zespół recytatorski. Amatorzy — artyści ze wsi i PGR-u, których praca kulturalna zespoliła w twórczy kolektyw, występowali w świetlicach robotniczych Nowej Huty, gdzie nawiązali serdeczną przyjaźń z młodzieżą robotniczą Zespół występował wielokrotnie w gromadach przodujących w skupie zboża i kontraktacji (w Szerokopasie i Żelgnie oraz w spółdzielni produkcyjnej w Warszewicach).

✣

W dniach 11 i 12 bm. w ZG. ZSCh w Warszawie obradował I Krajowy Zjazd Kierowników Zespołów Redakcyjnych gromadzkich gazetek ściennych. 200 uczestników, reprezentantów najaktywniejszych spośród 5 tys. istniejących na terenie wiejskim kolektywów redakcyjnych, dyskutowało sprawę roli i znaczenia gazetki w walce o plan, wydajność z ha, zwiększenie hodowli, dobre przygotowanie i przebieg akcji siewnej, w demaskowaniu i wypieraniu wroga klasowego.

W gmachu ZG. otwarto wystawę gazetek wiejskich. Obecnie odbywają się wojewódzkie i powiatowe odprawy zespołów redakcyjnych. Przewidywany jest planowy, kwartalny instruktarz zespołów na 1—2 dniowych wojewódzkich kurso - konferencjach.

✣

W Poznaniu odbył się ogólnopolski zjazd delegatów Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego z udziałem przodowników pracy i racjonalizatorów z 54 ośrodków reprezentujących branże: porcelanowo - fajansową, szklaną, metalową, ceramiczną, papierniczą, poligraficzną, włókienniczą, drzewną. Omówiono zadania przemysłu ludowego i artystycznego w Planie 6-letnim. Działalność CPL i A. idzie w dwóch kierunkach: 1) społeczno - kulturalnym — wydobywanie z zapomnienia regionalnych motywów i stylu w sztuce dla ich ochrony i twórczej kontynuacji, 2) gospodarczo - przemysłowym — organizowanie chałupnictwa wiejskiego w spółdzielnie wytwórcze. Zadanie pierwsze realizuje się we wzorcowniach, w szkołach, ośrodkach szkolenia artyst. jak np. w Rzeczycy pow. morski, przez opracowywanie modeli wykonanych wg. wzorów ludowych. Celem spopularyzowania dzieł sztuki ludowej powołane zostało Biuro Wydawn. Artystycznych i Ludowych.

W spółdzielniach, jak np. „Mazurki" w Wojnarowie, „Tkaniny" w Mikołajkach, „Sztuka Ludowa" w Olsztynie, przeprowadza CPL i A. modernizację pracy, mechanizację wstępnych etapów produkcji — co pozwoli podnieść produkcję tych ośrodków o 62 proc.

✣

Oficjalne pismo BBWR pn. „Powit Siedlecki" w latach 1934-5 informowało: „W pow. siedleckim jest 11.123 analfabetów, 50 szkół posiada tylko po 1 nauczycielu, na każdego nauczyciela przypada 67 dzieci". Dzisiaj w pow. siedleckim na 1 nauczyciela przypada już 3 dzieci, a 15 szkół wiejskich — to siedmioklasówki (w r. 1934-5 tylko 5).

„W latach 1934-35 w 3 gimnazjach kształciło się 278 uczniów ze wsi, w większości synów obszarników, policjantów i kułaków wiejskich, a świadectwo dojrzałości otrzymało wtedy tylko 93 absolwentów". Dziś szkoły średnie skupiają 795 uczniów spośród synów mało i średniorolnych chłopów — czyli przeciętnie 6 osób z każdej gromady, a świadectwa dojrzałości otrzymało w r. 1950 1951 — 293 uczniów.

„W r. 1935 było w całym powiecie 30 bibliotek z łączną liczbą 1500 książek Z usług tych placówek korzystało tylko 9 osób na 1000 mieszkańców wsi".

Dziś Biblioteka Powiatowa liczy ponad 22.980 tomów, 24 biblioteki gminne ponad 37.760 tomów. W gromadach działają punkty biblioteczne z liczbą 9.000 stałych czytelników.

bg.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12 tel 7 52-50 Adres redakcji: Warszawa, ul Starynkiewicza nr 7
Prenumerata i kolportaż: P P K „Ruch". Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12. tel 804-20 do 25
Tel Red Nacz 727-66 Tel Redakcji 751 80 dod wewnetrzny 91, 66
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3,— zł, kwartalnie 9,—; półrocznie 18,— zł; rocznie 36,— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6842 110 z zaznaczeniem „za tyg „Wieś".
RSW „PRASA", Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-13494

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca stycznia br. urzędy pocztowe, oraz listonosze wiejscy i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.